3 1761 08822354 0

H. Sienkiewicz

PISMA

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XXXIX

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

LP
S 5724
Sienkiewicz, Henryk

Pisma
Henryka Sienkiewicza

TOM XXXIX.

OGNIEM I MIECZEM
CZĘŚĆ II.

486102
17. 2. 49

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1902

OGNIEM I MIECZEM

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ VI.

Na całej Ukrainie i Zadnieprzu poczęły zrywać się jakieś szumy, jakoby zwiastuny burzy blizkiej; jakieś dziwne wieści przelatywały od sioła do sioła, od futoru do futoru, nakształt owych roślin, które jesienią wiatr po stepach żenie, a które lud perekotypolem zowie. W miastach szeptano sobie o jakiejś wielkiej wojnie, lubo nikt nie wiedział, kto i przeciwko komu ma wojować. Coś zapowiadało się wszelako. Twarze ludzkie stały się niespokojne. Rolnik niechętnie z pługiem na pole wychodził, chociaż wiosna przyszła wczesna, cicha, ciepła, a nad stepami dzwoniły oddawna skowronki. Wieczorami ludzie po siołach gromadzili się w kupy i, stojąc na drodze, gwarzyli półgłosem o rzeczach strasznych. Ślepców, krążących z lirami i pieśnią, wypytywano o nowiny. Niektórym zdało się, że nocami widzą jakieś odblaski na niebie i że księżyc czerwieńszy niż zwykle podnosi się z za bo-

rów. Wróżono klęski lub śmierć królewską — a wszystko to było tem dziwniejsze, że do ziem onych, przywykłych z dawna do niepokojów, walk, najazdów, strach niełatwy miał przystęp; musiały więc jakieś wyjątkowo złowrogie wichry grać w powietrzu, skoro niepokój stał się powszechnym.

Tem ciężej, tem duszniej było, że nikt nie umiał niebezpieczeństwa wskazać. Wszelako między oznakami złej wróżby, dwie szczególnie zdawały się wskazywać, że istotnie coś zagraża. Oto naprzód niesłychane mnóstwo dziadów lirników zjawiło się po wszystkich wsiach i miastach, a były między nimi jakieś postacie obce, nikomu nieznane, o których szeptano sobie, że to są dziady fałszywe. Ci, włócząc się wszędzie, zapowiadali tajemniczo, iż dzień sądu i gniewu Bożego się zbliża. Powtóre, niżowcy poczęli pić na umor.

Druga oznaka była jeszcze niebezpieczniejsza. Sicz, w zbyt szczupłych granicach objęta, nie mogła wszystkich swych ludzi wyżywić, wyprawy nie zawsze się zdarzały, przeto stepy nie dawały chleba kozakom, mnóstwo więc niżowców rozpraszało się rok rocznie, w spokojnych czasach, po okolicach zamieszkanych. Pełno ich było na Ukrainie, ba! nawet na całej Rusi. Jedni zaciągali się do pocztów starościńskich, inni szynkowali wódkę po drogach, inni trudnili się po wsiach i miastach handlem i rzemiosłami. W ka-

żdej prawie wsi stała opodal od innych chata, w której mieszkał zaporożec. Niektórzy mieli w takich chatach żony i gospodarstwo. A zaporożec taki, jako człek zwykle kuty i bity, był poniekąd dobrodziejstwem wsi, w której mieszkał. Nie było nad nich lepszych kowali, kołodziejów, garbarzy, woskobojów, rybitwów i myśliwych. Kozak wszystko umiał, wszystko zrobił, dom postawił i siodło uszył. Powszechnie jednak nie byli to osadnicy spokojni, bo żyli życiem tymczasowem. Kto chciał wyrok zbrojno wyegzekwować, na sąsiada najazd zrobić, lub się od spodziewanego obronić, potrzebował tylko krzyknąć, a wnet mołojcy zlatywali się, jak krucy na żer gotowi. Używała ich też szlachta, używali panowie, wiecznie spory z sobą wiodący, gdy jednak i takich wypraw brakło, to siedzieli cicho po wsiach, pracując do upadłego i w pocie czoła zdobywając chleb powszedni.

I trwało tak czasem rok, dwa, aż nagle przychodziła wieść o jakowejś walnej wyprawie, czy to jakiego atamana na Tatarów, czy na «lachiw», czy wreszcie paniąt polskich na Wołoszczyznę; — i wnet ci kołodzieje, kowale, garbarze, woskoboje porzucali spokojne zajęcie i przedewszystkiem poczynali pić na śmierć we wszystkich szynkach ukraińskich.

Przepiwszy wszystko, pili dalej na borg, *ne*

na to szczo je, ale na to, szczo bude. Przyszłe łupy miały zapłacić hulatykę.

Zjawisko owo powtarzało się tak stale, że później doświadczeni ludzie ukraińscy zwykli mawiać: «Oho! trzęsą się szynki od niżowców — w Ukrainie coś się gotuje».

I starostowie wzmacniali zaraz załogi w zamkach, pilnie dając na wszystko baczenie, panowie ściągali poczty, szlachta wysyłała żony i dzieci do miast.

Owóż wiosny tej, kozacy poczęli pić jak nigdy, trwonić na ślepo wszelakie zapracowane dobro, i to nie w jednym powiecie, nie w jednem województwie, ale na całej Rusi, jak długa i szeroka.

Coś się więc gotowało naprawdę, chociaż sami niżowcy nie wiedzieli zgoła co takiego. Zaczęto mówić o Chmielnickim, o jego na Sicz ucieczce i o grodowych z Czerkas, Bogusławia, Korsunia i innych miast, zbiegłych za nim — ale powiadano też i co innego. Od lat całych krążyły już wieści o wielkiej wojnie z pogany, której król chciał, by dobrym mołojcom łupu przysporzyć, ale Lachy nie chcieli — a teraz te wszystkie wieści pomieszały się z sobą i zrodziły w głowach ludzkich niepokój i oczekiwanie czegoś nadzwyczajnego.

Niepokój ów przedarł się i za mury łubniańskie. Na te wszystkie oznaki niepodobna było

oczu zamykać, a zwłaszcza nie miał tego zwyczaju książę Jeremi. W jego państwie niepokój nie przeszedł wprawdzie we wrzenie — strach trzymał w ryzie wszystkich, ale po niejakim czasie z Ukrainy zaczęły dolatywać słuchy, że tu i owdzie chłopi zaczynają dawać opór szlachcie, że mordują Żydów, że chcą się gwałtem zaciągać do regestru na wojnę z pogany i że liczba zbiegów na Sicz coraz się powiększa.

Porozsyłał więc książę posłańców: do pana Krakowskiego, do p. Kalinowskiego, do Łobody w Perejasławiu, a sam ściągał stada ze stepów i wojsko z pałanek. Tymczasem przyszły wieści uspokajające. Pan hetman wielki donosił wszystko co wiedział o Chmielnickim, nie uważał jednak, aby jaka zawierucha mogła z tej sprawy wyniknąć; p. hetman polny pisał, że «hultajstwo zwykle jako roje burzy się na wiosnę». Jeden stary chorąży Zaćwilichowski przesłał list zaklinający księcia, żeby niczego nie lekceważyć, bo wielka burza idzie od Dzikich Pól. O Chmielnickim donosił, że z Siczy do Krymu pognał, by chana o pomoc prosić. «A jako mnie z Siczy przyjaciele donoszą, — pisał — iż tam koszowy ze wszystkich ługów i rzeczek piesze i konne wojsko ściąga, nie mówiąc nikomu dlaczego to czyni, mniemam przeto, iż ta burza na nas się zwali, co jeżeli z pomocą tatarską się

stanie, daj Boże, by zguby wszystkim ziemiom Ruskim nie przyniosło».

Książę ufał Zaćwilichowskiemu więcej, niż samym hetmanom, bo wiedział, iż nikt na całej Rusi nie zna tak kozaków i ich fortelów, postanowił więc jak najwięcej wojsk ściągnąć, a jednocześnie do gruntu prawdy dotrzeć.

Pewnego więc rana kazał przywołać do siebie pana Bychowca, porucznika chorągwi wołoskiej, i rzekł mu:

— Pojedziesz waść ode mnie w poselstwie na Sicz, do pana atamana koszowego, i oddasz mu ten list z moją hospodyńską pieczęcią. Ale żebyś wiedział czego się trzymać, to ci powiem tak: list jest pozór, a zaś waga cała poselstwa w waszmościnym rozumie spoczywa, abyś na wszystko patrzał, co się tam dzieje, ile wojska zwołali i czy jeszcze zwołują. To szczególnie polecam, byś sobie jakich ludzi skaptował i o Chmielnickim mi się wszystkiego dobrze wywiedział, gdzie jest i jeżeli prawda, że do Krymu pojechał Tatarów o pomoc prosić. Rozumiesz waść?

— Jakoby mi kto na dłoni wypisał.

— Pojedziesz na Czehryn, po drodze nie wytchniesz dłużej, niż noc jedną. Przybywszy, udasz się do chorążego Zaćwilichowskiego, by cię w listy do swoich przyjaciół w Siczy opatrzył, które sekretnie im oddasz. Owi wszystko ci powiedzą. Z Czehryna ruszysz bajdakiem do Kudaku, po-

kłonisz się ode mnie panu Grodzickiemu i to pismo mu wręczysz. On cię przez Porohy każe przeprawić i przewoźników potrzebnych dostarczy. W Siczy też nie baw, patrz, słuchaj i wracaj, jeśli żyw będziesz, bo to ekspedycya nie łatwa.

— Wasza książęca mość jest szafarzem krwi mojej. Ludzi siła mam wziąć?

— Weźmiesz czterdziestu pocztowych. Ruszysz dziś pod wieczór, a przed wieczorem przyjdziesz jeszcze po instrukcye. Ważną to misyę waszmości powierzam.

Pan Bychowiec wyszedł uradowany; w przedpokoju spotkał Skrzetuskiego z kilku oficerami z artyleryi.

— A co tam? — spytali go.

— Dziś ruszam w drogę.

— Dokąd? dokąd?

— Do Czehryna, a stamtąd dalej.

— To chodźże ze mną — rzekł Skrzetuski.

I zaprowadziwszy go do kwatery, nuż molestować, by mu tę funkcyę odstąpił:

— Jakeś przyjaciel, rzecze, żądaj czego chcesz: konia tureckiego, dzianeta — dam, niczego nie będę żałował, bym jeno mógł jechać, bo się we mnie dusza w tamtą stronę rwie! Chcesz pieniędzy, pozwolę, byleś ustąpił. Sławy-ć to nie przyniesie, bo tu pierwej wojna, jeśli ma być, to się rozpocznie — a zginąć możesz. Wiem także, że ci

Anusia miła, jako i innym — pojedziesz, to ci ją zbałamucą.

Ten ostatni argument lepiej od innych trafił do myśli pana Bychowca, ale jednak opierał się. Coby książę powiedział, gdyby ustąpił? czyby mu nie miał za złe? Toć jest fawor książęcy taka funkcya.

Usłyszawszy to, Skrzetuski poleciał do księcia i natychmiast kazał się przez pazia meldować.

Po chwili paź powrócił z oznajmieniem, iż książę wejść pozwala.

Namiestnikowi biło serce jak młotem z obawy, że usłyszy krótkie: «Nie!» po którem nie zostawało nic innego, tylko wszystkiego poniechać.

— A co powiesz? — rzekł książę, ujrzawszy namiestnika.

Skrzetuski schylił mu się do nóg.

— Mości książę, przyszedłem błagać najpokorniej, by mnie ekspedycya na Sicz została powierzoną. Bychowiec możeby ustąpił, bo mi jest przyjacielem, a mnie tak właśnie na niej, jako na samem życiu zależy — boi się tylko Bychowiec, czy Wasza Książęca Mość krzywo za to nie będziesz.

— Na Boga! — rzekł książę: — toż jabym nikogo innego tylko ciebie nie wysłał, ale rozumiałem, że niechętnie ruszysz, niedawno taką długą drogę odbywszy.

— Mości książę, choćbym też i codzień był wysyłany, zawsze *libenter* w tamtą stronę jeździć będę.

Książę popatrzał na niego przeciągle swemi czarnemi oczyma i po chwili spytał:

— Co ty tam masz?

Namiestnik stał zmieszany jak winowajca, nie mogąc znieść badawczego spojrzenia.

— Już widzę, że muszę prawdę mówić, — rzekł — gdyż przed rozumem W. Ks. Mości żadne *arcana* ostać się nie mogą, jedno nie wiem, znajdęli łaskę w uszach W. Ks. Mości.

I tu zaczął opowiadać, jak poznał córkę kniazia Wasila, jak się w niej rozkochał i pragnąłby teraz ją odwiedzić, a za powrotem z Siczy do Łubniów ją sprowadzić, by przed zawieruchą kozacką i natarczywością Bohuna ją uchronić. Zamilczał tylko o machinacyach starej kniahyni, gdyż w tem był słowem związany. Natomiast tak począł błagać księcia, iżby mu funkcyę Bychowca powierzył, iż książę rzekł:

— Jabym ci i tak jechać pozwolił i ludzi dał, ale gdyś tak wszystko mądrze ułożył, by własny afekt z oną funkcyą pogodzić, tedy muszę już to dla ciebie uczynić.

To rzekłszy, w ręce klasnął i kazał paziowi przywołać pana Bychowca.

Namiestnik ucałował z radością rękę księcia, ten zaś za głowę go ścisnął i spokojnym być

rozkazał. Lubił on niezmiernie Skrzetuskiego, jako dzielnego żołnierza i oficera, na którego we wszystkiem można się było spuścić. Prócz tego był między nimi ten związek, jaki wytwarza się między podwładnym, uwielbiającym z całej duszy zwierzchnika, a zwierzchnikiem, który to czuje dobrze. Około księcia kręciło się niemało dworaków, służących i schlebiających dla własnej korzyści, ale orli umysł Jeremiego wiedział dobrze, co o kim trzymać. Wiedział, że Skrzetuski był człowiek jak łza — cenił go więc i był mu wdzięczny za uczucie.

Z radością dowiedział się także, że jego ulubieniec pokochał córkę Wasila Kurcewicza, starego sługi Wiśniowieckich, którego pamięć była tem droższą księciu, im była żałośniejszą.

— Nie z niewdzięczności to przeciw kniaziowi — rzekł — nie dowiadywałem się o dziewczynę, ale gdy opiekunowie nie zaglądali do Łubniów i żadnych skarg na nich nie odbierałem, sądziłem, iż są poczciwi. Skoroś mi jednak teraz ją przypomniał, będę o niej jak o rodzonej pamiętał.

Skrzetuski, słysząc to, nie mógł się nadziwić dobroci tego pana, który zdawał się sobie samemu robić wyrzuty, że wobec nawału spraw rozlicznych, nie zajął się losami dziecka dawnego żołnierza i dworzanina.

Tymczasem nadszedł pan Bychowiec.

— Mosanie, — rzekł mu książę: — słowo się rzekło; jeśli zechcesz, pojedziesz, aleć proszę, uczyń to dla mnie i ustąp funkcyi Skrzetuskiemu. Ma on swoje szczególne, słuszne racye, by jej pożądać, a ja o innej pomyślę dla waści rekompensie.

— Mości książę, — odparł Bychowiec — łaska to wysoka W. Ks. Mości, że mogąc rozkazać, na moją wolę to zdajesz, której łaski nie byłbym godzien, nie przyjmując jej najwdzięczniejszem sercem.

— Podziękujże przyjacielowi — rzekł książę, zwracając się do Skrzetuskiego — i idź gotować się do drogi.

Skrzetuski istotnie dziękował gorąco Bychowcowi, a w kilka godzin potem był gotów. W Łubniach oddawna trudno już mu było wysiedzieć, a ta ekspedycya dogadzała wszelkim jego życzeniom. Naprzód miał zobaczyć Helenę, a potem — prawda, że trzeba było się od niej na dłuższy czas oddalić, ale właśnie taki czas był potrzebny, by drogi po niezmiernych deszczach stały się dla kół możliwe do przebycia. Prędzej kniahyni z Heleną nie mogły zjechać do Łubniów, musiałby więc Skrzetuski albo w Łubniach czekać, albo w Rozłogach przesiadywać, co byłoby przeciw układowi z kniahynią i — co większa — obudziłoby podejrzenia Bohuna. Helena prawdziwie bezpieczną przeciw jego zamachom mog-

ła być dopiero w Łubniach, gdy więc musiała koniecznie jeszcze dość długo w Rozłogach pozostawać, najlepiej wypadało Skrzetuskiemu odjechać, a za to z powrotem, już pod zasłoną siły wojskowej książęcej, ją zabrać. Tak obrachowawszy, kwapił się namiestnik z wyjazdem, i ułatwiwszy wszystko, wziąwszy listy i instrukcye od księcia, a pieniądze na ekspedycyę od skarbnika, dobrze jeszcze przed nocą puścił się w drogę, mając z sobą Rzędziana i czterdziestu semenów z kozackiej książęcej chorągwi.

ROZDZIAŁ VII.

Było to już w drugiej połowie marca. Trawy puściły się bujno; perekotypola zakwitły, step zawrzał życiem. Rankiem namiestnik, jadąc na czele swych ludzi, jechał jakby morzem, którego falą ruchliwą była kołysana wiatrem trawa. A wszędy pełno wesołości i głosów wiosennych, krzyków, świergotu, pogwizdywań, kląskań, trzepotania skrzydeł, radosnego brzęczenia owadów: step brzmiący jak lira, na której gra ręka Boża. Nad głowami jeźdźców jastrzębie, tkwiące nieruchomie w błękicie, nakształt pozawieszanych krzyżyków, trójkąty dzikich gęsi, sznury żórawiane; na ziemi gony zdziczałych tabunów: ot, leci stado koni stepowych, widać je, jak porą

trawy piersią, idą jak burza i stają jak wryte, otaczając jeźdźców półkolem; grzywy ich rozwiane, chrapy rozdęte, oczy zdziwione! Rzekłbyś: chcą roztratować nieproszonych gości. Ale chwila jeszcze — i pierzchają nagle i nikną równie szybko, jak przybiegły; jeno trawy szumią, jeno kwiaty migocą! Tętent ucichł, znowu słychać tylko granie ptactwa. Niby wesoło, a jakiś smutek śród tej radości, niby gwarno a pusto — o! a szeroko, a przestronno! Koniem nie zgonić, myślą nie zgonić... chyba te smutki, tę pustosz, te stepy pokochać i tęskną duszą krążyć nad nimi, na ich mogiłach spoczywać, głosu ich słuchać i odpowiadać.

Ranek był. Wielkie krople błyszczały na bylicach i burzanach, rzeźwe powiewy wiatru suszyły ziemię, na której po deszczach stały szerokie kałuże, jakby jeziorka rozlane, w słońcu świecące. Poczet namiestnikowy posuwał się zwolna, bo trudno było pośpieszyć, gdy konie zapadały czasem po kolana w miękkiej ziemi. Ale namiestnik mało im dawał wytchnienia po wzgórkach mogilnych, bo śpieszył zarazem witać i żegnać. Jakoż drugiego dnia o południu, przejechawszy szmat lasu, dojrzał już wiatraki w Rozłogach, rozrzucone po wzgórzach i poblizkich mogiłach. Serce mu biło, jak młotem. Nikt go się tam nie spodziewa, nikt nie wie, że przyjedzie; co też ona powie, gdy go ujrzy? O, oto już i chaty

pidsusidków, poukrywane w młodych sadach wiśniowych; dalej wieś rozrzucona dworzyszczowych, a jeszcze dalej widać i żóraw studzienny na dworskim majdanie. Namiestnik wspiął konia i kopnął się cwałem, a za nim pocztowi; lecieli tak przez wieś z brzękiem i gwarem. Tu i owdzie chłop wypadł z chaty, popatrzał, przeżegnał się: czorty, nie czorty? Tatary, nie Tatary? Błoto tak pryska z pod kopyt, że i nie poznasz, kto leci. A oni tymczasem dolecieli do majdanu i stanęli przed bramą zawartą.

— Hej tam! kto żyw, otwieraj!

Gwar, stukanie i ujadanie psów wywołały ludzi ze dworu. Przypadli tedy do bramy wystraszeni, myśląc, że chyba najazd.

— Kto jedzie?

— Otwieraj!

— Kniaziów niema w domu.

— Otwierajże, pogański synu! My od księcia z Łubniów.

Czeladź poznała wreszcie Skrzetuskiego.

— A to wasza miłość! Zaraz, zaraz!

Otworzono bramę, a wtem i sama kniahyni wyszła przed sień i, przykrywszy oczy ręką, patrzała na przybyłych.

Skrzetuski zeskoczył z konia i, zbliżywszy się do niej, rzekł:

— Jejmość nie poznajesz mnie?

— Ach! to waszmość, panie namiestniku. Ro-

zumiałam, że napad tatarski. Kłaniam i proszę do komnat.

— Dziwisz się zapewne waćpani, — rzekł Skrzetuski, gdy weszli już do środka, — widząc mnie w Rozłogach, a przeciem słowa nie złamał, gdyż to sam książę do Czehryna i dalej mnie posyła. Kazał mi przytem w Rozłogach się zatrzymać i o wasze zdrowie zapytać.

— Wdzięcznam jego książęcej mości, jako łaskawemu panu i dobrodziejowi. Prędkoż nas myśli z Rozłogów rugować?

— Nie myśli on o tem wcale, gdyż nie wie, że trzeba was rugować, a ja com powiedział, to będzie. Zostaniecie w Rozłogach; mam ja swego chleba dosyć.

Usłyszawszy to, kniahyni zaraz rozpogodziła się i rzekła:

— Siadajże waszmość i bądź sobie rad, jakom ja ci rada.

— A kniaziówna zdrowa? gdzie jest?

— Wiem ci ja, żeś nie do mnie przyjechał, mój kawalerze. Zdrowa ona, zdrowa; jeszcze dziewka od tych amorów potłuściała. Ale wraz ci jej zawołam, a i sama się trochę ogarnę, bo mi wstyd tak gości przyjmować.

Jakoż kniahyni miała na sobie suknię ze spłowiałego cycu, kożuch na wierzchu i jałowicze buty na nogach.

W tej chwili jednak Helena, choć i niewo-

łana, wbiegła do komnaty, bo się od Tatara Czechły dowiedziała, kto przyjechał. Wbiegłszy zdyszana i kraśna jak wiśnia, tchu prawie złapać nie mogła, i tylko oczy śmiały się jej szczęściem i weselem. Skrzetuski skoczył jej ręce całować, a gdy kniahyni dyskretnie wyszła, całował i usta, bo był człowiek porywczy. Ona też nie broniła się bardzo, czując, że niemoc opanowywa ją ze zbytku szczęścia i radości.

— A ja się waćpana nie spodziewałam, — szeptała, mrużąc swe śliczne oczy — ale już tak nie całuj, bo nie przystoi.

— Jak nie mam całować, — odpowiedział rycerz — gdy mi miód nie tak słodki, jako usta twoje? Myślałem też, że już mi uschnąć przyjdzie bez ciebie, aż mnie sam książę tu wyprawił.

— To książę wie?

— Powiedziałem mu wszystko. A on jeszcze rad był, na kniazia Wasila wspomniawszy. Ej, chybaś ty mi co zadała, dziewczyno, że już i świata za tobą nie widzę!

— Łaska to Boża takie zaślepienie twoje.

— A pamiętasz jeno ten omen, który raróg uczynił, gdy nam ręce ku sobie ciągnął. Znać było już przeznaczenie.

— Pamiętam...

— Jakem też od tęskności chodził w Łubniach na Sołonicę, tom cię tak prawie jako żywą wi-

dywał, a com wyciągnął ręce, toś nikła. Ale mi więcej nie umkniesz, gdyż tak myślę, że nic nam już nie stanie na wstręcie.

— Jeśli co stanie, to nie wola moja.

— Powiedzże mi jeszcze raz, że mnie miłujesz.

Helena spuściła oczy, ale odrzekła z powagą i wyraźnie:

— Jako nikogo w świecie.

— Żeby mnie kto złotem i dostojeństwy obsypał, wolałbym takie słowa twoje, bo czuję, że prawdę mówisz, choć sam nie wiem, czem na takowe dobrodziejstwo od ciebie zarobić mogłem.

— Boś miał litość dla mnie, boś mnie przygarnął i ujmował się za mną i takiemi słowy do mnie mówił, jakich wprzódy nigdy nie słyszałam.

Helena zamilkła ze wzruszenia, a porucznik począł na nowo całować jej ręce.

— Panią mi będziesz, nie żoną — rzekł.

I przez chwilę milczeli, tylko on wzroku z niej nie spuszczał, chcąc sobie długie niewidzenie nagrodzić. Wydała mu się jeszcze piękniejszą, niż dawniej. Jakoż w tej ciemnawej świetlicy, w grze promieni słonecznych, rozłamujących się w tęczę na szklanych gomółkach okien, wyglądała jak owe obrazy świętych dziewic w mrocznych kościelnych kaplicach. A jednocześnie biło od niej takie ciepło i życie, tyle rozkosznych niewieścich

ponęt i uroków malowało się w twarzy i całej postaci, że można było głowę stracić, rozkochać się na śmierć, a kochać na wieczność.

— Od twojej gładkości chyba mi oślepnąć przyjdzie! — rzekł namiestnik.

Białe ząbki kniaziówny wesoło błysnęły w uśmiechu.

— Pewnie panna Anna Borzobohata ode mnie stokroć gładsza!

— Tak jej do ciebie, jako właśnie cynowej misie do miesiąca.

— A mnie imć Rzędzian co innego powiadał.

— Imć Rzędzian wart w gębę. Co mnie tam po onej pannie! Niech inne pszczoły z tego kwiatu miód biorą, a jest ich tam niemało.

Dalszą rozmowę przerwało wejście starego Czechły, który przyszedł witać namiestnika. Uważał go on już za swego przyszłego pana, więc kłaniał mu się od proga, oddając mu wschodnim obyczajem salamy.

— No, stary Czechły, wezmę i ciebie z panienką. Już też jej służ do śmierci.

— Niedługo jej czekać, wasza miłość, ale póki życia, póty służby. Bóg jeden!

— Za jaki miesiąc, gdy z Siczy wrócę, ruszymy do Łubniów, — rzekł namiestnik, zwracając się do Heleny — a tam ksiądz Muchowiecki ze stułą czeka.

Helena przestraszyła się:

— To ty na Sicz jedziesz?

— Książę posyła z listami. Aleć się nie bój. Osoba posła i u pogan święta. Ciebie zaś z kniahynią wyprawiłbym choć zaraz do Łubniów, jeno drogi straszne. Sam widziałem — i koniem nie bardzo przejedzie.

— A długo w Rozłogach zostaniesz?

— Dziś jeszcze na wieczór do Czehryna ruszam. Prędzej pożegnam, prędzej powitam. Zresztą służba książęca: nie mój czas, nie moja wola.

— Proszę na posiłek, jeśli amorów i gruchania dosyć — rzekła, wchodząc, kniahyni. — Ho! ho! policzki ma dziewczyna czerwone, snadź nie próżnowałeś, panie kawalerze! No, ale się wam nie dziwię.

To rzekłszy, poklepała łaskawie Helenę po ramieniu, i poszli na obiad. Kniahyni była w doskonałym humorze. Bohuna odżałowała już dawno, a teraz wszystko składało się tak, dzięki hojności namiestnika, że Rozłogi «cum boris, lasis, graniciebus et coloniis» mogła już uważać za swoje i swoich synów.

A były to przecie dobra niemałe.

Namiestnik wypytywał o kniaziów, czy prędko wrócą.

— Lada dzień się już ich spodziewam. Gniewno im było z początku na waćpana, ale potem, zważywszy twoje postępki, bardzo cię, jako przyszłego krewniaka polubili, bo prawią, że takiej

fantazyi kawalera trudno już w dzisiejszych miękkich czasach znaleźć.

Po skończonym obiedzie namiestnik z Heleną wyszli do sadu wiśniowego, który tuż do fosy za majdanem przytykał. Sad był, jako śniegiem wczesnem kwieciem obsypany, za sadem czerniała dąbrowa, w której kukała kukułka.

— Na szczęśliwą to nam wróżbę, — rzekł pan Skrzetuski — ale trzeba się popytać.

I zwróciwszy się ku dąbrowie, pytał:

— Zazulu niebożę, a ile lat będziem żyli w stadle z tą oto panną?

Kukułka poczęła kukać i kukać. Naliczyli pięćdziesiąt i więcej.

— Dajże tak Boże!

— Zazule zawsze prawdę mówią — zauważyła Helena.

— A kiedy tak, to jeszcze będę pytał! — rzekł rozochocony namiestnik.

I pytał:

— Zazulu niebożę, a siła mieć będziem chłopczysków?

Kukułka, jakby zamówiona, zaraz poczęła odpowiadać i wykukała ni mniej ni więcej, tylko dwanaście.

Pan Skrzetuski nie posiadał się z radości.

— Ot, starostą zostanę, jak mnie Bóg miły! Słyszałaś waćpanna? hę?

— Zgoła nie słyszałam — odpowiedziała czer-

wona jak wiśnia Helena; — nawet nie wiem, o coś pytał.

— To może powtórzyć?

— I tego nie trzeba.

Na takich rozmowach i zabawach zeszedł im dzień jak sen. Wieczorem nadeszła chwila czułego, długiego pożegnania — i namiestnik ruszył ku Czehrynowi.

ROZDZIAŁ VIII.

W Czehrynie zastał pan Skrzetuski starego Zaćwilichowskiego w wielkiem wzruszeniu i gorączce; wyglądał on niecierpliwie książęcego posłańca, bo z Siczy coraz groźniejsze dochodziły wieści. Nie ulegało już wątpliwości, że Chmielnicki gotował się zbrojną ręką swoich krzywd i dawnych kozackich przywilejów dochodzić. Zaćwilichowski miał o nim wiadomości, iż w Krymie bawił u chana, żebrząc pomocy tatarskiej, z którą już lada dzień był w Siczy spodziewany. Gotowała się tedy walna z Niżu do Rzeczypospolitej wyprawa, która przy pomocy tatarskiej mogła być zgubną. Burza rysowała się coraz bliżej, wyraźniej, straszniej. Już nie głuche, nieokreślone trwogi przebiegały Ukrainę, ale poprostu pewność rzezi i wojny. Hetman wielki, który z początku niewiele sobie z całej sprawy

robił, przysunął się teraz z wojskiem do Czerkas; wysunięte placówki wojsk koronnych dochodziły aż do Czehryna, a to głównie, by zbiegostwo powstrzymać, kozacy bowiem grodowi i czerń masami poczęli na Sicz uciekać. Szlachta kupiła się po miastach. Mówiono, że pospolite ruszenie ma być w południowych województwach ogłoszone. Niektórzy też i nie czekając na wici, odsyłali żony i dzieci do zamków, a sami ciągnęli pod Czerkasy. Nieszczęsna Ukraina rozdzieliła się na dwie połowy; jedna śpieszyła na Sicz, druga do obozu koronnego; jedna opowiadała się przy istniejącym porządku rzeczy, druga przy dzikiej swobodzie; jedna pragnęła zachować to, co było owocem wiekowej pracy, druga pragnęła jej owo dobro odjąć. Obie wkrótce miały bratnie ręce we własnych wnętrznościach ubroczyć. Straszliwy zatarg, zanim wyszukał sobie haseł religijnych, które dla Niżu obce były zupełnie, zrywał się jako wojna socyalna.

Ale jakkolwiek czarne chmury skłębiły się na widnokręgu ukraińskim, jakkolwiek padała od nich noc złowroga, jakkolwiek we wnętrzu ich kłębiło się i huczało, a grzmoty przewalały się z końca w koniec, ludzie nie zdawali sobie jeszcze sprawy, do jakiego stopnia burza się rozpęta. Może nie zdawał sobie z tego sprawy i sam Chmielnicki, który tymczasem słał listy do pana Krakowskiego, do komisarza kozackiego

i do chorążego koronnego, pełne skarg i biadań, a zarazem zaklęć wierności dla Władysława IV i Rzpltej. Chciał-li zyskać na czasie, czy też przypuszczał, że jaki układ może jeszcze koniec zatargowi położyć? — różni różnie sądzili — dwóch tylko ludzi nie łudziło się ani przez jedną godzinę.

Ludźmi tymi byli Zaćwilichowski i stary Barabasz.

Stary pułkownik odebrał również list od Chmielnickiego. List był szyderczy, groźny i pełen obelg. «Zaczniemy z całem wojskiem zaporoskiem — pisał Chmielnicki — gorąco prosić i apelować, by stało się zadość onym przywilejom, które wasza miłość u siebie taiłeś. A żeś je taił dla własnych korzyści i pożytków, przeto całe wojsko zaporoskie czyni cię godnym pułkownikować owcom, albo świniom, nie ludziom. Ja zaś proszę o przebaczenie waszej miłości, jeśli w czem mu nie wygodziłem w ubogim domu moim w Czehrynie, na prażniku św. Mikołaja — i żem odjechał na Zaporoże bez wiadomości i pozwolenia».

— Patrzcie, waszmościowie, — mówił do Zaćwilichowskiego i Skrzetuskiego Barabasz — jak to naigrawa się ze mnie, a przecież jam to go wojny uczył i prawie ojcem mu byłem.

— Zapowiada tedy, że z całem wojskiem zaporoskiem upominać się o przywileje będzie —

rzekł Zaćwilichowski. — Wojna to jest poprostu domowa, od wszystkich wojen straszniejsza.

Na to Skrzetuski:

— Widzę, że mi się trzeba śpieszyć; dajcie mi waszmościowie listy do tych, z którymi w komitywę wejść mi przyjdzie.

— Do atamana koszowego masz waść?

— Mam od samego księcia.

— Dam ci tedy do jednego kurzeniowego, a imć Barabasz ma tam też krewniaka Barabasza; od nich dowiesz się wszystkiego. A kto wie, czy to już nie za późno na takową ekspedycyę. Chce książę wiedzieć, co tam naprawdę słychać? — krótka odpowiedź: źle słychać! A chce wiedzieć czego się trzymać? — krótka rada: zebrać jak najwięcej wojska i z hetmany się połączyć.

— To pchnijcie do księcia gońca z odpowiedzią i radą — rzekł pan Skrzetuski. — Ja muszę jechać, bom tam posłan i decyzyi książęcej zmieniać nie mogę.

— A czy wiesz waść, że to okrutnie niebezpieczna wyprawa? — rzekł Zaćwilichowski. — Tu już lud tak wzburzony, że osiedzieć się trudno. Gdyby nie blizkość koronnego wojska, czerń rzuciłaby się na nas. A cóż dopiero tam! Leziesz jakoby smokowi w gardło.

— Mości chorąży! Jonasz był już w brzuchu

wielorybim, nie w gardle, a za pomocą Bożą wylazł zdrowo.

— Jedź tedy. Chwalę twoją rezolucyę. Do Kudaku możesz waść dojechać bezpiecznie, tam się rozpatrzysz, co ci dalej czynić przystoi. Grodzicki stary żołnierz, on najlepsze da ci instrukcye. A do księcia ja sam pewnie ruszę; jeśli się mam bić na swoje stare lata, to wolę pod nim, niż pod kim innym. Tymczasem bajdak albo dombazę i przewoźników dla waści przygotuję, którzy cię do Kudaku zawiozą.

Skrzetuski wyszedł i udał się prosto do swojej kwatery na rynek, do domu księcia, by ostatnie poczynić przygotowania. Mimo niebezpieczeństw tej podróży, o których mu prawił Zaćwilichowski, namiestnik nie bez pewnego ukontentowania myślał o niej. Miał zobaczyć Dniepr w całej niemal długości, aż do Niżu, i porohy, a była to dla ówczesnego rycerstwa ziemia jakby zaczarowana, tajemnicza, do której ciągnął wszelki duch przygód chciwy. Niejeden całe życie na Ukrainie strawił, a nie mógł się pochwalić, by Sicz widział — chyba żeby chciał zapisać się do bractwa, a do tego mniej już między szlachtą było ochotników. Czasy Samka Zborowskiego przeszły i nie miały wrócić więcej. Rozbrat między Siczą a Rzecząpospolitą, który powstał za czasów Nalewajki i Pawluka, nietylko nie ustawał, ale zwiększał się coraz bardziej, i napływ

na Sicz herbowego ludu, nietylko polskiego, ale i ruskiego, nie różniącego się od Niżowców ni mową ni wiarą, znacznie był mniejszy. Tacy Bułyhowie Kurcewicze niewielu znajdowali naśladowców; wogóle na Niż, do bractwa, gnało teraz szlachtę chyba nieszczęście, banicya, słowem winy do odpokutowania niepodobne.

To też jakaś tajemnica nieprzenikniona, jako mgły Dnieprowe, otoczyła drapieżną niżową rzeczpospolitą. Opowiadano o niej cuda, które pan Skrzetuski własnemi oczyma ciekaw był oglądać.

Nie spodziewał się też, co prawda, stamtąd nie wrócić. Co poseł, to poseł, zwłaszcza od księcia Jeremiego.

Tak rozmyślając, wyglądał przez okno ze swej kwatery na rynek. Tymczasem upłynęła jedna godzina i druga, gdy nagle Skrzetuskiemu wydało się, że spostrzega dwie jakieś znane postacie, zmierzające ku Dzwonieckiemu kątowi, gdzie był sklep Wołocha Dopuły.

Przypatrzył się pilniej: był to p. Zagłoba z Bohunem.

Szli, trzymając się pod ręce, i wkrótce znikli w ciemnych drzwiach, nad któremi sterczała wiecha, oznaczająca szynk i winiarnię.

Namiestnika zdziwiła i bytność Bohuna w Czehrynie i przyjaźń jego z panem Zagłobą.

— Rzędzian! sam tu! — zawołał na pachołka.

Pacholek ukazał się we drzwiach przyległej izby.

— Słuchaj-no, Rzędzian: pójdziesz do winiarni, ot, tam pod wiechę; znajdziesz tam grubego szlachcica z dziurą w czole i powiesz mu, że ktoś, co ma pilną do niego sprawę, chce go widzieć. A jeśliby pytał kto, nie mów.

Rzędzian skoczył, i po niejakim czasie namiestnik ujrzał go wracającego w towarzystwie pana Zagłoby.

— Witaj waszmość! — rzekł pan Skrzetuski, gdy szlachcic ukazał się we drzwiach izby. — Czy mnie sobie przypominasz?

— Czy sobie przypominam? Niechże mnie Tatarzy na łój przetopią i świece ze mnie do meczetów porobią, jeślim zapomniał! Waść to kilka miesięcy temu otworzyleś drzwi u Dopuła Czaplińskim, co mnie szczególnie do smaku przypadło, gdyż takim samym sposobem uwolniłem się raz z więzienia w Stambule. A co porabia pan Powsinoga herbu Zerwipludry, razem ze swoją innocencyą i mieczem? Czy zawsze mu wróble na głowie siadają, biorąc go za uschłe drzewo?

— Pan Podbipięta zdrów i kazał się kłaniać waszmości.

— Wielce to jest bogaty szlachcic, ale srodze głupi. Jeśli zetnie takie trzy głowy jak jego własna, to mu to uczyni dopiero półtorej, bo

zetnie trzech półgłówków. Tfu! jakie gorąco, choć to dopiero marzec! Język w gardle zasycha.

— Mam ja trojniak bardzo przedni, może waść kusztyczek pozwoli?

— Kiep odmawia, gdy nie kiep prosi. Właśnie mi cyrulik miód pić zalecił, żeby mi melankolię od głowy odciągnęło. Ciężkie bo to czasy na szlachtę się zbliżają: *dies irae et calamitatis.* Czapliński zdechł ze strachu, do Dopuła nie chodzi, bo tam starszyzna kozacka pije. Ja jeden stawiam mężnie czoło niebezpieczeństwom i dotrzymuję onym pułkownikom kompanii, choć ich pułkownictwo dziegciem śmierdzi. Dobry miód!... istotnie bardzo przedni. Skąd go waść masz?

— Z Łubniów. To dużo starszyzny tu jest?

— Kogo tu niema? Fedor Jakubowicz jest, stary Filon Dziedziała jest, Daniel Neczaj jest, a z nimi ich oczko w głowie, Bohun, który stał mi się przyjacielem od czasu, jakem go przepił i obiecałem go adoptować. Wszyscy oni śmierdzą teraz w Czehrynie i patrzą, w którą stronę się obrócić, bo nie śmieją jeszcze otwarcie przy Chmielnickim się opowiedzieć. Ale jeśli się nie opowiedzą, to będzie moja zasługa.

— A to jakim sposobem?

— Bo pijąc z nimi, dla Rzeczypospolitej ich kaptuję i do wierności namawiam. Jeśli król nie da mnie za to starostwa, to wierzaj waćpan, niema justycyi w tej Rzeczypospolitej, ani re-

kompensy dla zasług, i lepiej pono kury sadzać, niż głowę *pro publico bono* narażać.

— Lepiejbyś waćpan narażał, bijąc się z nimi, ale widzi mi się, że pieniądze tylko próżno wyrzucasz na traktamenty, bo tą drogą ich nie skaptujesz.

— Ja pieniądze wyrzucam? Za kogo mnie waszmość masz? To niedość, że pospolituję się z chamami, żebym jeszcze za nich miał płacić? Za fawor to uważam, że im pozwalam płacić za siebie.

— A ówże Bohun co tu porabia?

— On? Nadstawia ucha, co od Siczy słychać, jak i inni. Poto tu przybył. To kochanek wszystkich kozaków. Wdzięczą się oni do niego nakształt małpów, bo to jest pewna, że perejasławski pułk za nim, nie za Łobodą pójdzie. A kto wie także, za kim regestrowi Krzeczowskiego pociągną? Brat Bohun Niżowcom, jak trzeba iść na Turka lub Tatara, ale teraz bardzo kalkuluje, bo mi po pijanemu wyznał, iż się w szlachciance kocha i chce się z nią żenić, przeto nie wypada mu w wigilię ślubu z chłopy się bratać. Toć on chce, bym go adoptował i do herbu przypuścił... Bardzo przedni ten waszmościów trojniak!

— Wypijże waść jeszcze.

— Wypiję, wypiję. Nie pod wiechami to taki trojniak przedają.

— Nie pytałeś się też wasze, jak się nazywa owa szlachcianka, z którą Bohun chce się żenić?

— Mospanie, a co mnie obchodzi jej nazwisko? Wiem tylko, że jak Bohunowi rogi przyprawię, to się będzie nazywała pani jeleniowa.

Namiestnik uczuł nagle wielką ochotę trzepnąć w ucho pana Zagłobę, ten zaś, nie spostrzegłszy się na niczem, mówił dalej:

— Za młodych lat był ze mnie gładysz nielada. Żebym tylko waści opowiedział, za co palmę w Galacie otrzymałem! Widzisz tę dziurę na mojem czele? Dość, gdy ci powiem, że mi ją rzezańcy w seraju tamecznego baszy wybili.

— A mówiłeś, że kula rozbójnicka?

— Mówiłem? Tom dobrze mówił! każdy Turczyn rozbójnik — tak mnie Panie Boże dopomóż!

Dalszą rozmowę przerwało wejście Zaćwilichowskiego.

— No, mości namiestniku, — rzekł stary chorąży — bajdaki gotowe, przewoźników masz ludzi pewnych: ruszajże w imię Boże, choćby i zaraz. A oto listy.

— To każę ludziom zaraz ruszać na brzeg.

— A gdzie waść się wybierasz? — spytał pan Zagłoba.

— Do Kudaku.

— Gorąco tam ci będzie.

Ale namiestnik nie słyszał już przepowiedni, bo wyszedł z izby na podwórzec, gdzie przy koniach stali semenowie, prawie już gotowi do podróży.

— Na koń i na brzeg! — zakomenderował pan Skrzetuski. — Konie wprowadzać na statki i czekać na mnie!

Tymczasem w izbie stary chorąży rzekł do Zagłoby:

— Słyszałem, że podobno waść teraz pułkownikom kozackim dworujesz i z nimi pijesz.

— *Pro publico bono*, mości chorąży.

— Obrotny masz waść dowcip i podobno od wstydu większy. Chcesz sobie kozaków *in poculis* skonwinkować, by przyjaciółmi ci byli w razie zwycięstwa.

— Choćbym też, będąc męczennikiem tureckim, nie chciał zostać i kozackim, nie byłoby nic dziwnego, bo dwa grzyby mogą najlepszy barszcz popsować. A co do wstydu, nikogo nie zapraszam, by go pił ze mną — sam go wypiję, i da Bóg, że mi nie będzie gorzej od tego miodu smakował. Zasługa, jako olej, musi na wierzch wypłynąć.

W tej chwili wrócił Skrzetuski.

— Ludzie już ruszają — rzekł.

Zaćwilichowski nalał miarkę:

— Za szczęśliwą podróż!

— I zdrowy powrót! — dodał pan Zagłoba.

— Będzie się wam dobrze jechało, bo woda ogromna.

— Siadajcie waszmościowie, wypijem resztę. Niewielki to antalek.

Siedli i pili.

— Ciekawy kraj waść zobaczysz — mówił Zaćwilichowski. — A kłaniaj się panu Grodzickiemu w Kudaku! Ej, żołnierz to, żołnierz! Na końcu świata siedzi, daleko od hetmańskich oczu, a porządek u niego taki, że daj Boże w całej Rzeczypospolitej podobny. Znam ja dobrze Kudak i Porohy. Za dawnych lat częściej się tam jeździło, i aż duszy smutno, gdy się pomyśli, że to przeszło, minęło, a teraz...

Tu chorąży wsparł mleczną głowę na ręku i zadumał się głęboko. Nastała chwila ciszy, słychać było tylko tupot koński w bramie, bo ostatek ludzi pana Skrzetuskiego wyjeżdżał na brzeg ku bajdakom.

— Mój Boże! — mówił, ocknąwszy się z zadumy, Zaćwilichowski — a jednak dawniej, choć i wśród rozterków, lepsze bywały czasy. Ot, pamiętam jak dziś, pod Chocimiem, dwadzieścia siedm lat temu! Gdy husarya szła pod Lubomirskim do ataku na janczarów, to mołojcy w swoim okopie rzucali czapki w górę i krzyczeli, aż ziemia drżała, do Sahajdacznego: «Puskaj, bat'ku, z Lachami umiraty!» A dziś co? Dziś Niż, który winien być przedmurzem chrześci-

jaństwa, puszcza Tatarów w granice Rzeczypospolitej, by się na nich rzucić dopiero wtedy, gdy z łupem będą wracali. Dziś gorzej: bo oto Chmielnicki łączy się wprost z Tatary, z którymi chrześcijan będzie do kompanii mordował...

— Wypijmy na ten smutek! — przerwał Zagłoba. — Co to za trojniak!

— Dajże Boże jak najprędzej mogiłę, by na wojnę domową nie patrzeć — mówił dalej stary chorąży. — Wspólne winy mają się we krwi obmywać, aleć nie będzie to krew odkupienia, boć tu i brat brata będzie mordował. Kto na Niżu? Rusini. A kto w wojsku księcia Jaremy? Kto w pocztach pańskich? Rusini. A małoż ich w obozie koronnym? A ja sam kto taki? Hej, nieszczęsna Ukraino! krymscy poganie włożą ci łańcuch na szyję i na galerach tureckich wiosłować będziesz!

— Nie biadajcież tak, mości chorąży! — rzecze pan Skrzetuski — bo już chyba śluzy z oczu nam pójdą. Może też jeszcze pogodne słońce nam zaświeci!

Ale słońce zachodziło właśnie, a ostatnie jego promienie padały czerwonym blaskiem na białe włosy chorążego.

W mieście dzwoniono na Anioł Pański i na Pochwalnię.

Wyszli. Pan Skrzetuski poszedł do kościoła,

pan Zaćwilichowski do cerkwi, a pan Zagłoba do Dopuły w Dzwoniecki kąt.

Ciemno już było, gdy się znowu zeszli nad brzegiem Taśminowej przystani. Ludzie pana Skrzetuskiego siedzieli już w bajdakach. Przewoźnicy wnosili jeszcze ładunki. Zimny wiatr ciągnął od poblizkiego ujścia do Dniepru, i noc obiecywała być niezbyt pogodna. Przy świetle ognia palącego się nad brzegiem, woda rzeki połyskiwała krwawo i zdawała się z niezmierną chyżością uciekać gdzieś w nieznaną ciemność.

— No, szczęśliwej drogi! — mówił chorąży, ściskając serdecznie dłoń młodzieńca. — A pilnuj się waść!

— Nie zaniecham niczego. Bóg da, że niezadługo się zobaczymy.

— Chyba w Łubniach, albo w obozie książęcym.

— To waszmość już koniecznie do księcia?

Zaćwilichowski podniósł ramiona w górę:

— A co mnie? Kiedy wojna, to wojna!

— Zostawajże waszmość w dobrem zdrowiu, mości chorąży.

— Niechże cię Bóg strzeże!

— *Vive, valeque!* — wołał Zagłoba. — A jeśli woda aż do Stambułu waści zaniesie, to kłaniaj się sułtanowi. Albo też: jechał go sęk!... Bardzo to zacny był trojniak!... Brr! jak tu zimno!

— Do widziska!

— Do obaczyska!

— Niech Bóg prowadzi!

Zaskrzypiały wiosła i plusnęły o wodę, bajdaki popłynęły. Ogień palący się na brzegu począł oddalać się szybko. Przez długi czas Skrzetuski widział jeszcze sędziwą postać chorążego, oświeconą płomieniem stosu, i jakiś smutek ścisnął mu nagle serce. Niesie go ta woda, niesie, ale oddala od serc życzliwych i od ukochanej, od krain znanych; niesie go nieubłaganie, jak przeznaczenie, ale w dzikie strony, w ciemność...

Wypłynęli z ujścia Taśminowego na Dniepr.

Wiatr świstał, wiosła wydawały plusk jednostajny a smutny. Przewoźnicy poczęli śpiewać:

»Oj to te pili, pilili,
Ne tumany ustawili«.

Skrzetuski owinął się w burkę i położył na posłaniu, które umościli dla niego żołnierze. Począł myśleć o Helenie, o tem, że ona dotąd nie w Łubniach, że Bohun został, a on odjeżdża. Obawa, złe przeczucia, troski obsiadły go, jak kruki. Począł mocować się z niemi, aż się znużył, myśli mu się mąciły, zmieszały się jakoś dziwnie z poświstem wiatru, z pluskiem wioseł, z pieśniami rybaków — i usnął.

ROZDZIAŁ IX.

Nazajutrz zbudził się świeży, zdrów i z weselszą myślą. Pogoda była cudna. Szeroko rozlane wody marszczyły się w drobne zmarszczki od lekkiego i ciepłego powiewu.

Brzęgi były w tumanie i zlewały się z płaszczyzną wód w jedną nieprzejrzaną równinę. Rzędzian, zbudziwszy się i przetarłszy oczy, aż się przestraszył. Spojrzał zdziwionemi oczyma dookoła, a nie widząc nigdzie brzegu, rzekł:

— O dla Boga! mój jegomość, to my już chyba na morzu jesteśmy...

— Rzeka to tak potężna, nie morze — odpowiedział Skrzetuski; — a brzegi obaczysz, gdy mgła opadnie.

— Myślę, że niedługo już nam i na Turecczyznę wędrować przyjdzie.

— Powędrujemy, jeśli nam każą; widzisz zresztą, że nie sami płyniemy.

Jakoż w promieniu oka widać było kilkanaście bajdaków, dombaz czyli tumbasów; i wązkich czarnych czółen kozackich, obszytych sitowiem, a zwanych pospolicie czajkami. Jedne z tych statków płynęły z wodą, unoszone bystrym prądem, inne pięły się pracowicie w górę rzeki, wspomagane wiosłami i żaglem. Wiozły one ryby, wosk, sól i suszone wiśnie do miast

brzegowych, lub też wracały z okolic zamieszkanych, obładowane zapasami żywności dla Kudaku i towarem, który chętny znajdował pokup na Kramnym bazarze w Siczy. Brzegi Dnieprowe były już od ujścia Pszoły zupełną pustynią, na której gdzieniegdzie tylko bielały kozackie zimowniki, ale rzeka stanowiła gościniec, łączący Sicz z resztą świata, więc też i ruch bywał na niej dość znaczny, zwłaszcza gdy przybór wody ułatwiał żeglugę, i gdy nawet Porohy, prócz Nienasytca, stawały się dla statków, idących w dół rzeki, możliwe dla przebycia.

Namiestnik przypatrywał się z ciekawością temu życiu rzecznemu, a tymczasem bajdaki jego mknęły szybko ku Kudakowi. Mgła opadła, brzegi zarysowały się wyraźnie. Nad głowami płynących ulatywały miliony ptactwa wodnego, pelikanów, dzikich gęsi, żórawi, kaczek i czajek, kulonów i rybitew; w oczeretach przybrzeżnych słychać było taki gwar, takie kotłowanie się wody i szum skrzydeł, że rzekłbyś, iż odbywają się tam sejmy lub wojny ptasie.

Brzegi za Krzemieńczukiem stały się niższe i otwarte.

— Patrz-no jegomość! — wykrzyknął nagle Rzędzian: — dyć to niby to słońce piecze, a śnieg leży na polach.

Skrzetuski spojrzał: istotnie jak okiem sięg-

nął, jakiś biały pokład błyszczał w promieniach słońca po obu stronach rzeki.

— Hej, starszy! a co to się tam bieli? — spytał rotmana.

— Wiszni, pane! — odpowiedział starszy.

Były to istotnie lasy wiśniowe, złożone z karłowatych drzew, któremi oba brzegi szeroko były za ujściem Pszoły porosłe. Owoc ich, słodki i wielki, dostarczał jesienią pożywienia ptactwu, zwierzętom i ludziom zbłąkanym w pustyni, a zarazem stanowił przedmiot handlu, który wożono bajdakami aż do Kijowa i dalej. Teraz lasy osypane były kwieciem. Gdy zbliżyli się do brzegu, by ludziom wioslującym dać wypoczynek, namiestnik z Rzędzianem wysiedli, chcąc się bliżej owym gajom przypatrzyć. Ogarnął ich tak upajający zapach, iż zaledwie mogli oddychać. Mnóstwo płatków leżało już na ziemi. Miejscami drzewka stanowiły gąszcz nieprzeniknionny. Między wiśniami rosły także obficie dzikie karłowate migdały, okryte kwieciem różowem, wydającem jeszcze silniejszy zapach. Miliony trzmielów, pszczół i barwnych motylów unosiły się nad owem pstrem morzem kwiatów, którego końca nie można było dojrzeć.

— Cuda to, panie, cuda! — mówił Rzędzian. — I czemu tu ludzie nie mieszkają? Zwierza tu także widzę dostatek.

Jakoż między krzakami wiśniowymi smykały

zające szare, białe i niezliczone stada wielkich błękitnonogich przepiórek, których kilka Rzędzian z guldynki ustrzelił, ale ku wielkiemu umartwieniu dowiedział się potem od *starszego,* że mięso ich jest trucizną.

Na miękkiej ziemi widać też było ślady jeleni i suhaków, a z dala dochodziły odgłosy podobne do rechtania dzikich świń.

Podróżnicy, napatrzywszy się i odpocząwszy, ruszyli dalej. Brzegi to wznosiły się, to stawały się płaskie, odkrywając widok na śliczne dąbrowy, lasy, uroczyska, mogiły i rozłożyste stepy. Okolica wydawała się tak przepyszną, że Skrzetuski mimo woli powtarzał sobie pytanie Rzędziana: czemu tu ludzie nie mieszkają? Ale na to trzeba było, by jaki drugi Jeremi Wiśniowiecki objął te pustynie, urządził i bronił od napadów Tatarów i niżowych. Miejscami rzeka tworzyła łachy, zakręty, zalewała jary, biła spienioną falą o skały brzeżne i wypełniała wodą ciemne jaskinie skalne. W takich to jaskiniach i zakrętach bywały kryjówki i schowania kozacze. Ujścia rzek, pokryte lasem sitowia, oczeretów i szuwarów, aż czerniły się od mnogości ptactwa, słowem: świat dziki, przepaścisty, miejscami zapadły a pusty i tajemniczy, roztoczył się przed oczyma naszych wędrowców.

Żegluga stała się przykrą, bo z powodu cie-

plego dnia pokazywały się roje zjadliwych komarów i rozmaitych nieznanych na suchym stepie insektów, a niektóre z nich na palec grube, ciurkiem krew po ukąszeniu puszczały.

Wieczorem przybyli do wyspy Romanówki, której ognie z daleka było widać, i zatrzymali się na nocleg. Rybacy, którzy przybiegli popatrzeć na poczet namiestnika, mieli koszule, twarz i ręce całkiem pomazane dziegciem dla obrony od ukąszeń. Byli to ludzie grubych obyczajów i dzicy; na wiosnę zjeżdżali się tu tłumnie dla połowu i wędzenia ryb, które potem rozwozili do Czehryna, Czerkas, Perejasławia i Kijowa. Rzemiosło ich było trudne, ale zyskowne z powodu obfitości ryb, które latem stawały się nawet klęską tych okolic, zdychając bowiem dla braku wody po łachach i tak zwanych «cichych kątach» zarażały zgnilizną powietrze.

Dowiedział się od rybaków namiestnik, że wszyscy niżowcy, którzy również zajmowali się tu połowem, od kilku dni opuścili wyspę i udali się na Niż, wezwani przez atamana koszowego. Co noc też widywano z wyspy ognie, które palili na stepie zbiegowie, na Sicz podążający. Rybacy wiedzieli, że gotuje się wyprawa «na Lachiw», i wcale nie ukrywali się z tem przed namiestnikiem. Widział tedy pan Skrzetuski, że jego ekspedycya może istotnie jest spóźnioną; może, nim dojedzie do Siczy, pułki mołojców ruszą już

na północ, ale kazano mu jechać, więc jako prawy żołnierz nie rozumował i postanowił dotrzeć choćby w środek zaporoskiego obozu.

Nazajutrz rano wyruszyli w dalszą drogę. Pominęli cudny Tareński róg, Suchą Górę i Koński Ostróg, sławny ze swoich bagien i mnóstwa gadzin, które go niezdatnym do mieszkania czyniły. Wszystko tu już, i dzikość okolicy, i zwiększony pęd wód, zwiastowało blizkość porohów. Aż wreszcie wieża kudacka zarysowała się na widnokręgu — pierwsza część podróży była skończona.

Namiestnik jednak nie dostał się tego wieczoru do zamku, bo pan Grodzicki zaprowadził taki porządek, że gdy przed zachodem słońca wybito hasło, nie wpuszczano nikogo z zamku i do zamku, i gdyby nawet sam król przyjechał, musiałby nocować w Słobódce, stojącej pod wałami fortecy.

Tak też uczynił i namiestnik. Nocleg to był niezbyt wygodny, bo chaty w Słobódce, których znajdowało się ze sześćdziesiąt, ulepione z gliny, tak były szczuple, iż do niektórych okrakiem trzeba było włazić. Innych też nie opłaciło się budować, bo je forteca za każdym napadem tatarskim w perzynę obracała, a to dlatego, by nie dawały napastnikom zasłony i bezpiecznego do wałów przystępu. Mieszkali w onej Słobódce ludzie «zachozi», to jest przybłędowie z Polski,

Rusi, Krymu i Wołoszy. Każdy tu był niemal innej wiary, ale tam o to nikt nie pytał. Gruntów nie obrabiali dla niebezpieczeństwa od Ordy, żywili się rybą i zbożem dostawianem z Ukrainy, pili palankę z prosa, a trudnili się rzemiosłami, dla których w zamku ich ceniono.

Namiestnik oka prawie zmrużyć nie mógł dla nieznośnego zapachu końskich skór, z których rzemienie w Słobódce wyprawiano. Nazajutrz, świtaniem, jak tylko wydzwoniono i na trąbach wygrano «rozbudzenie», dał znać do zamku, iż poseł książęcy przybył i prosi o przyjęcie. Grodzicki, który świeżo miał w pamięci wizytę książęcą, sam na jego spotkanie wyszedł. Był to człowiek pięćdziesięcioletni, jednooki jak cyklop, posępny, bo siedząc w pustyni na końcu świata i nie widując ludzi, zdziczał, a sprawując nieograniczoną władzę, nabrał powagi i surowości. Twarz mu przytem zeszpeciła ospa, a ozdobiły nacięcia szabel i blizny od strzał tatarskich, podobne do białych piętn na ciemnej skórze. Był to jednak żołnierz szczery, czujny jak żóraw, który ustawicznie oczy miał w stronę Tatarów i kozaków wytężone. Pijał tylko wodę, sypiał tylko siedm godzin na dobę, częstokroć zrywał się w nocy, by obaczyć, czy straże dobrze wałów pilnują, i za najmniejsze niedbalstwo porywał na śmierć żołnierzy. Dla kozaków wyrozumiały, choć groźny, zyskał sobie ich szacunek.

Gdy zimą głodno bywało na Siczy, zbożem ich wspomagał. Był to Rusin, pokroju tych, którzy swego czasu z Przeclawem Lanckorońskim i Samkiem Zborowskim w stepy chodzili.

— To tedy waszmość na Sicz jedziesz? — pytał Skrzetuskiego, wprowadziwszy go poprzednio do zamku i uczęstowawszy gościnnie.

— Na Sicz. Jakie waszmość, mości komendancie, masz stamtąd nowiny?

— Wojna! Ataman koszowy ze wszystkich ługów, rzeczek i wysp ściąga kozaków. Zbiegi z Ukrainy idą, którym przeszkadzam, jak mogę. Wojska tam już jest na trzydzieści tysięcy, albo i więcej. Gdy na Ukrainę ruszą, gdy się z nimi grodowi kozacy i czerń połączą, będzie ich sto tysięcy.

— A Chmielnicki?

— Lada dzień z Krymu z Tatarami spodziewany. Może już jest; prawdę rzec, niepotrzebnie waszmość do Siczy chcesz jechać, bo wkrótce tu ich się doczekasz; że zaś Kudaku nie miną, ani go za sobą nie zostawią, to pewna.

— A obronisz się waszmość?

Grodzicki popatrzał na namiestnika posępnie i odrzekł dobitnym, spokojnym głosem:

— A ja się nie obronię...

— Jak to?

— Bo prochów nie mam. Mało dwadzieścia czółen posłałem, by mi choć trochę przysłano —

i nie przysłano. Nie wiem-li: przejęto gońców — czy sami nie mają — wiem, że dotąd nie przysłano. Mam na dwa tygodnie — na dłużej nie. Gdybym miał dosyć, pierwejbym Kudak i siebie w powietrze wysadził, nimby tu noga kozacza postała. Kazano mi tu leżeć — leżę, kazano czuwać — czuwam, kazano zęby wyszczerzać — wyszczerzam, a gdy zginąć przyjdzie — raz maty rodyła — i to potrafię.

— A samże waszmość nie możesz prochów robić?

— Od dwóch już miesięcy zaporożcy saletry mi nie puszczają, którą od Czarnego morza przywozić trzeba. Wszystko jedno. Zginę!

— Uczyć się nam od was, starych żołnierzów. A gdybyś sam waszmość po prochy ruszył?

— Mosanie, ja Kudaku nie zostawię i zostawić nie mogę; tu mi było życie, tu niech śmierć będzie. Waść nie myśl także, że na bankiety i wspaniałe recepcye jedziesz, jakiemi gdzieindziej posłów witają, albo że cię tam godność poselska osłoni. Toż oni własnych atamanów mordują, i od czasu, jak tu siedzę, nie pamiętam, by który zczezł swoją śmiercią. Zginiesz i ty.

Skrzetuski milczał.

— Widzę, że duch w waćpanu gaśnie. To lepiej nie jedź.

— Mój mości komendancie, — rzekł na to

z gniewem namiestnik — wymyślże co lepszego, by mnie przestraszyć, bo to, co mi powiadasz, jużem słyszał z dziesięć razy, a kiedy mi radzisz nie jechać, to widzę, sambyś na mojem miejscu nie jechał — zważ przeto, czy ci nietylko prochów, ale i fantazyi do obrony Kudaku nie zbraknie.

Grodzicki, zamiast się rozgniewać, spojrzał jaśniej na namiestnika.

— Zubastaja szczuka! — mruknął po rusińsku. — Przebacz mi waszmość. Z odpowiedzi twojej miarkuję, że potrafisz *dignitatem* księcia i stanu szlacheckiego utrzymać. Dam ci tedy parę czajek, bo bajdakami porohów nie przejedziesz.

— O to też przybyłem prosić waszmości.

— Koło Nienasytca każesz je lądem ciągnąć, bo choć woda duża, ale tam nigdy przejechać nie można. Ledwie się jakie małe czółenko przemknie. A gdy już będziesz na nizkich wodach, tedy się pilnuj, by cię nie zaskoczono, i pamiętaj, że żelazo a ołów od słów wymowniejsze. Tam tylko śmiałych ludzi cenią. Czajki będą na jutro gotowe, każę tylko drugie rudle poprzyprawiać, bo jednego na porohach mało.

To rzekłszy, Grodzicki wyprowadził z izby namiestnika, by mu zamek i jego porządki pokazać. Wszędy panował wzorowy ład i karność. Straże dniem i nocą gęsto czuwały na wałach,

które jeńcy tatarscy musieli bez przestanku wzmacniać i poprawiać.

— Co rok na łokieć wyżej wału sypię, — rzekł pan Grodzicki — to też tak już urósł, że gdybym miał prochów dostatek, i we sto tysięcy niceby mi nie zrobili; ale bez strzelby nie obronię, gdy przemoc przyjdzie.

Forteca była istotnie nie do zdobycia, bo prócz armat, broniły jej Dnieprowe przepaście i niedostępne skały, pionowo zeskakujące w wodę; nie potrzebowała nawet wielkiej załogi. To też w zamku nie stało więcej nad sześćset ludzi, ale za to co najprzebrańszego żołnierza, uzbrojonego w muszkiety i samopały. Dniepr, płynąc w tem miejscu ściśniętem korytem, tak był wązki, że rzucona z wałów strzała przelatywała daleko na drugi brzeg. Działa zamkowe panowały nad obu brzegami i nad całą okolicą. Prócz tego o pół mili od zamku stała wysoka wieża, z której ośm mil wokoło widać było, a w niej stu żołnierzy, do których pan Grodzicki każdego dnia zaglądał. Ci, spostrzegłszy w okolicy lud jaki, dawali natychmiast znać do zamku, a wówczas bito w dzwony, i cała załoga wnet stawała pod bronią.

— Prawie tygodnia niema — mówił pan Grodzicki — bez jakowegoś alarmu, bo Tatarzy, jak wilki stadami, często po kilka tysięcy tu się włóczą, których z dział strychujemy jak można,

a częstokroć tabuny dzikich koni straże biorą za Tatarów.

— I nie przykrzy się waszmości siedzieć na takiem bezludziu? — pytał pan Skrzetuski.

— Choćby mi też na pokojach królewskich miejsce dano, tobym tu wolał. Więcej ja stąd świata widzę, niżeli król ze swego okna w Warszawie.

Jakoż istotnie z wałów widać było niezmierną przestrzeń stepów, które teraz wydawały się jednem morzem zieloności; na północ ujście Samary, a na południe cały bieg Dnieprowy, skały, przepaście, lasy, aż do pian drugiego porohu, Surskiego.

Pod wieczór zwiedzili jeszcze wieżę, gdyż Skrzetuski, pierwszy raz widząc tę zaginioną w stepach fortecę, wszystkiego był ciekawy. Tymczasem przygotowywano dla niego w Słobódce czajki, które opatrzone rudlami po obu końcach, stawały się zwrotniejsze. Nazajutrz rankiem miał wyruszyć. Ale przez noc nie kładł się prawie wcale spać, rozmyślając, co mu czynić przystoi wobec niechybnej zguby, którą mu groziło posłowanie do straszliwej Siczy. Życie uśmiechało mu się wprawdzie, bo był młody, i kochał, i miał żyć obok ukochanej; wszelako od życia więcej honor i sławę kochał. Ale przyszło mu do głowy, że wojna blizka, że Helena, czekając na niego w Rozłogach, może być ogar-

nięta najokropniejszym pożarem, wystawiona na zapędy nietylko Bohuna, ale rozpętanej i dzikiej czerni, więc duszę porywała mu trwoga o nią i ból. Stepy musiały już podeschnąć, możnaby już pewno do Łubniów z Rozłogów jechać, a tymczasem on sam kazał Helenie i kniahyni na swój powrót czekać, bo nie spodziewał się, by burza mogła wybuchnąć tak prędko, nie wiedział, czem grozi jazda do Siczy. Chodził więc teraz szybkimi kroki po zamkowej izbie, brodę targał i ręce lamał. Co miał począć? jak postąpić? W myśli widział już Rozłogi w ogniu, otoczone wyjącą czernią, więcej do szatanów, niż do ludzi podobną. Własne jego kroki odbijały się posępnem echem pod sklepieniem zamkowem, a jemu wydało się, że to już złe moce po Helenę idą. Na wałach trąbiono gaszenie światła, a jemu wydało się, że to odgłos Bohunowego rogu, i zębami zgrzytał, i za głownię szabli imał. Ach! czemuż to on naparł się tej ekspedycyi i Bychowca jej pozbawił!

Zauważył tę alteracyę pana Rzędzian, śpiący w progu, więc wstał, oczy przetarł, objaśnił pochodnie palące się w żelaznych obręczach, i począł kręcić się po komnacie, chcąc zwrócić uwagę pana.

Ale namiestnik utonął całkowicie w swoich bolesnych myślach i chodził dalej, budząc krokami uśpione echa.

— Jegomość! hej, jegomość!... — rzekł Rzędzian.

Skrzetuski popatrzał na niego szklanym wzrokiem. Nagle zbudził się z zamyślenia.

— Rzędzian, boisz ty się śmierci? — spytał.

— Kogo? jak to śmierci? co jegomość mówi?

— Bo kto na Sicz jedzie, ten nie wraca.

— A to czemu jegomość jedzie?

— Moja wola, ty się w to nie wtrącaj, ale ciebie mi żal, boś dzieciuch, a chociażeś frant, tam się frantowstwem nie wykręcisz. Wracaj do Czehryna, a potem do Łubniów.

Rzędzian zaczął się drapać w głowę.

— Mój jegomość, juści śmierci się boję, bo ktoby się jej nie bał, toby się Boga nie bał, gdyż Jego to wola żywić kogoś, albo umorzyć, ale skoro jegomość dobrowolnie na śmierć leziesz, to już jegomościn będzie grzech jako pana, nie mój jako sługi, przeto ja jegomości nie opuszczę, bom też nie chłop żaden, jeno szlachcic, choć ubogi, ale też nie bez ambicyi.

— Wiedziałem, żeś dobry pacholek, powiem ci jednak: nie chcesz po dobrej woli jechać, pojedziesz z rozkazu, bo już inaczej nie może być.

— Choćby mnie jegomość zabił, nie pojadę. Co to jegomość sobie myśli, żem jest Judasz jaki, czy co, żebym jegomości miał na śmierć wydawać?

Tu Rzędzian podniósł ręce do oczu i począł

buczeć głośno, widział więc pan Skrzetuski, że tą drogą do niego nie trafi, a rozkazywać groźnie nie chciał, bo mu było chłopca żal.

— Słuchaj — rzekł do niego: — pomocy mi żadnej nie dasz, ja przecie także dobrowolnie głowy pod miecz kłaść nie będę, a do Rozłogów listy zawieziesz, na których mnie więcej, niż na samym żywocie zależy. Powiesz tam jejmości i kniaziom, by zaraz, bez najmniejszej zwłoki, panienkę do Łubniów odwieźli, bo ich inaczej rebelia zaskoczy — sam też dopilnujesz, by się to stało. Ważną ci funkcyą powierzam, przyjaciela godną, nie sługi.

— To niech jegomość kogo innego wyszle; z listem każdy pojedzie.

— A kogo ja tu mam zaufanego? czyś zgłupiał! To ci powtarzam: uratuj mi po dwakroć życie, a jeszcze mi takiej przysługi nie oddasz, gdyż w męce żyję, myśląc, co może się stać, i od boleści skóra na mnie potnieje.

— O dla Boga! widzę, że muszę jechać, ale mi tak jegomości żal, że choćbyś mi jegomość ten kropiasty pas darował, zgołabym się nie pocieszył.

— Będziesz pas miał, jeno spraw się dobrze.

— Nie chcę i pasa, byleś mi jegomość jechać z sobą dozwolił.

— Jutro wrócisz czajką, którą pan Grodzicki do Czehryna wysyła, dalej bez zwłoki ni odpo-

czynku ruszysz prosto do Rozłogów. Tam kniahyni nic nie mów, czy mi co grozi, ani panience, proś tylko, by zaraz choćby konno do Łubniów jechały, choćby bez tobołów żadnych. Oto masz trzos na drogę, listy zaraz ci napiszę.

Rzędzian padł do nóg namiestnika.

— Panie mój, zali nie mam cię ujrzeć więcej?

— Jak Bóg da, jak Bóg da! — odparł, podnosząc go, namiestnik. — Ale w Rozłogach wesołą twarz pokazuj. Teraz idź spać.

Reszta nocy zeszła Skrzetuskiemu na pisaniu listów i żarliwej modlitwie, po której zaraz przyleciał do niego anioł uspokojenia. Tymczem noc zbladła i świt ubielił wązkie okienka od wschodu. Dniało — aż i różowe blaski wkradły się do komnaty. Na wieży i zamku poczęto grać poranne «wstawaj». Wkrótce potem Grodzicki pojawił się w komnacie.

— Mości namiestniku, czajki gotowe.

— I jam też gotów — rzekł spokojnie Skrzetuski.

ROZDZIAŁ X.

Lotne czajki mknęły z wodą jak jaskółki, niosąc młodego rycerza i jego losy. Z powodu wysokich wód porohy nie przedstawiały wielkiego niebezpieczeństwa. Minęli Surski, Łochanny, szczęśliwa fala przerzuciła ich przez Woronową

Zaporę, zgrzytnęły trochę czółna na Kniażym i Strzelczym, ale jeno się otarły, nie rozbiły, aż wreszcie w oddali ujrzeli piany i wiry strasznego Nienasytca. Tu już trzeba było wysiadać i czółna lądem ciągnąć. Praca długa i ciężka, zwykle zabierająca dzień cały. Na szczęście, widocznie po dawnych przeprawach, na całym brzegu leżało mnóstwo kloców, które podkładano pod czółna, dla łatwiejszego toczenia ich po ziemi. W całej okolicy i na stepach nie było widać żywego ducha, na rzece ani jednej czajki, bo już nie mogły płynąć do Siczy inne, tylko te, które pan Grodzicki przez Kudak przepuścił, a pan Grodzicki umyślnie odciął Zaporoże od reszty świata. Ciszę przerywał więc tylko huk fali o skały Nienasytca. Przez czas, gdy ludzie toczyli czółna, pan Skrzetuski przypatrywał się temu dziwowisku natury. Straszny widok uderzył jego oczy. Przez całą szerokość rzeki biegło w poprzek siedm grobel skalistych sterczących nad wodą, czarnych, poszarpanych przez fale, które powyłamywały w nich jakoby bramy i przejścia. Rzeka całym ciężarem wód tłukła o owe groble i odbijała się o nie, rozszalała, wściekła, zbita na białą, spienioną miazgę, usiłowała je przeskoczyć, jak rumak rozhukany. Ale odparta raz jeszcze, nim mogła lunąć przez otwory, rzekłbyś, gryzła zębem skały, skręcała się w bezsilnym gniewie w potworne wiry, wy-

buchała słupami w górę, wrzała jak ukrop, ziała ze zmęczenia, jak dziki zwierz. A potem znów huk jakby stu dział, wycie całych stad wilków, chrapanie, wysilenia i przy każdej grobli taka sama walka, tenże sam zamęt. Nad otchłanią wrzask ptactwa, jakby przerażonego widokiem, między groblami posępne cienie skał, drgające na kolbani, nakształt złych duchów.

Ludzie, ciągnący czółna, lubo przyzwyczajeni, żegnali się pobożnie, przestrzegając namiestnika, by się zbyt nie zbliżał do brzegu. Były bowiem podania, że kto zbyt długo patrzał na Nienasytec, ten w końcu ujrzał coś takiego, od czego rozum mu się mieszał; twierdzono również, że czasem z wirów wynurzały się czarne długie ręce i chwytały nieostrożnych, którzy zanadto się zbliżyli, a wtedy straszne śmiechy rozlegały się w przepaściach. Nocami nawet zaporożcy nie śmieli czółen przeciągać.

Do bractwa na Niżu nikt nie mógł być jako towarzysz przyjęty, kto porohów samotnie czółnem nie przebył, ale dla Nienasytca czyniono wyjątek, gdyż skały jego nigdy nie bywały zalewane. O jednym Bohunie ślepcy śpiewali, jakoby i przez Nienasytec się przekradł, wszelako nie dawano temu wiary.

Przeciąganie czółen zajęło blizko dzień czasu, i słońce poczęło zachodzić, gdy namiestnik wsiadł znów do łodzi. Zato następne porohy przebyli

z łatwością, bo całkiem były pokryte, i wreszcie wpłynęli na «ciche wody niżowe».

Po drodze widział pan Skrzetuski na uroczyszczu Kuczkasów olbrzymią mogiłę z białych kamieni, którą książę na pamiątkę swego pobytu kazał usypać, a o której pan Bogusław Maszkiewicz w Łubniach mu opowiadał. Do Siczy stąd nie było już daleko, ale że namiestnik nie chciał nocą wjeżdżać w czertomelicki labirynt, postanowił więc zanocować na Chortycy.

Chciał także spotkać jaką żywą duszę zaporoską i dać uprzednio znać o sobie, by wiedziano, iż poseł, a nie kto inny przyjeżdża. Chortyca jednak zdawała się być pustą, co niemało zdziwiło namiestnika, wiedział bowiem od Grodzickiego, że tam zawsze stawała załoga kozacka od inkursyi tatarskiej. Puścił się nawet sam z kilku ludźmi dość daleko od brzegu na wzwiady, ale całej wyspy przejść nie mógł, miała bowiem przeszło milę długości, a noc zapadała już ciemna i niezbyt pogodna, wrócił więc do czajek, które tymczasem powyciągano na piasek i porozpalano ognie na nocleg od komarów.

Większa część nocy zeszła spokojnie. Semenowie i przewodnicy posnęli przy ogniach — czuwały tylko straże, a z nimi i namiestnik, którego od wyjazdu z Kudaku dręczyła straszna bezsenność. Czuł także, że trawi go gorączka.

Chwilami zdawało mu się, że słyszy zbliżające się kroki z głębi wyspy, to znów jakieś dziwne odgłosy, podobne do odległego beczenia kóz. Ale myślał, że ucho go zwodzi.

Nagle, dobrze już ku świtaniu, stanęła przed nim jakaś ciemna postać.

Był to czeladnik ze straży.

— Panie, idą! — rzekł pośpiesznie.

— Kto taki?

— Pewnie niżowi: idzie ich ze czterdziestu.

— Dobrze. To niewielu. Zbudź ludzi! Ognia podpalić!

Semenowie wnet porwali się na nogi. Podsycony płomień buchnął w górę i oświecił czajki i garść żołnierzy namiestnika. Inni strażnicy przybiegli również do koła.

Tymczasem nieregularne kroki gromady ludzi dawały się już rozróżnić wyraźnie; kroki te zatrzymały się w pewnem oddaleniu; natomiast jakiś głos spytał z akcentem groźby:

— A kto na brzegu?

— A wy kto? — odparł wachmistrz.

— Odpowiadaj, wraży synu, a nie, to z samopału zapytam!

— Jego wysokość pan poseł od J. O. księcia Jeremiego Wiśniowieckiego do atamana koszowego — wygłosił donośnie wachmistrz.

Głosy w gromadzie umilkły; widocznie trwała tam krótka narada.

— A chodź jeno sam tu! — zawołał wachmistrz; — nie bój się. Posłów nie biją, ale i posły nie biją!

Kroki znów ozwały się, i po chwili kilkadziesiąt postaci wynurzyło się z cienia. Po śniadej cerze, nizkim wzroście i kożuchach wełną do góry, namiestnik od pierwszego wejrzenia poznał, że po większej części byli to Tatarzy; kozaków znajdowało się tylko kilkunastu. Przez głowę pana Skrzetuskiego przeleciała jak błyskawica myśl, że skoro Tatarzy są na Chortycy, więc Chmielnicki musiał już wrócić z Krymu.

Na czele gromady stał stary zaporożec olbrzymiego wzrostu, o twarzy dzikiej i okrutnej. Ten, zbliżywszy się do ogniska, spytał:

— A który tu posel?

Silny zapach gorzałki rozszedł się dookoła — zaporożec był widocznie pijany.

— Który tu posel? — powtórzył.

— Jam jest — rzekł dumnie pan Skrzetuski.

— Ty?

— A cóżem ci brat, że mnie «ty» mówisz?

— Znaj, grubijanie, politykę! — poderwał wachmistrz. — Mówi się: Jaśnie wielmożny pan posel!

— Na pohybelże wam, czortowy syny! szczob was Sierpiahowa smert! jasno wielmożny syny! A wy poco do atamana?

— Nie twoja sprawa! wiedz jeno, że szyja twoja w tem, bym się do atamana najprędzej dostał.

W tej chwili drugi zaporożec wysunął się z gromady.

— My tu z woli atamana — rzekł — pilnujem, by się nikt od «Lachiw» nie zbliżał, a kto się zbliży, mamy wiązać i dostawiać, co też uczynim.

— Kto dobrowolnie jedzie, tego nie będziesz wiązał.

— Budu, bo takij nakaz.

— A wiesz, chłopie, co to osoba posła? a wiesz kogo tu przedstawiam?

W tem stary olbrzym przerwał:

— Zawedem posła, ale za borodu — ot tak!

To rzekłszy, sięgnął ręką do brody namiestnika.

Ale w tej chwili jęknął i, jakby gromem rażony, zwalił się na ziemię.

Namiestnik roztrzaskał mu głowę czekanem.

— Koli, koli! — zawyły wściekłe głosy w gromadzie.

Semenowie książęcy sypnęli się na ratunek swego wodza; huknęły samopały, wrzaski: «Koli! koli!» zlały się ze szczękiem żelaza. Wszczęła się bitwa bezładna. Zdeptane w zamieszaniu ogniska zgasły, i ciemność ogarnęła walczących. Wkrótce jedni i drudzy zwarli się

tak, że zabrakło miejsca do cięcia, a noże, pięści i zęby zastąpiły szable.

Nagle z głębi wyspy ozwały się liczne, nowe nawoływania i krzyki; napastnikom nadchodziła pomoc.

Chwila jeszcze, a byłaby przyszła za późno, gdyż karni semenowie brali już górę nad ciżbą.

— Do czółen! — krzyknął grzmiącym głosem namiestnik.

Pocztowi wykonali rozkaz w mgnieniu oka. Na nieszczęście, czajki, zbyt silnie wciągnięte na piasek, nie dawały się teraz zepchnąć w wodę.

Tymczasem nieprzyjaciel skoczył z furyą ku brzegowi.

— Ognia! — skomenderował pan Skrzetuski.

Salwa z muszkietów wnet powstrzymała napastników, którzy zmieszali się, skłębili i cofnęli w nieładzie, zostawiając kilkanaście ciał rozciągniętych na piasku; niektóre z tych ciał rzucały się konwulsyjnie, nakształt ryb wyłowionych z wody i porzuconych na brzegu.

Jednocześnie przewoźnicy, wspomagani przez kilkunastu semenów, wsparłszy wiosła o ziemię, dobywali ostatnich sił, by zepchnąć statki na wodę — ale napróżno.

Nieprzyjaciel rozpoczął atak z daleka. Pluskanie kul po wodzie zmieszało się ze świstem strzał i jękami rannych.

Tatarzy, ałłachując coraz przeraźliwiej, za-

Jednocześnie przeciwnicy, wspomagani przez kilkunastu semenów, dobywali ostatki sił, by zepchnąć statki na wodę.

chęcali się wzajemnie; odpowiadały im krzyki kozaków: «Koli! koli!» i spokojny głos pana Skrzetuskiego, powtarzający coraz częściej komendę:

— Ognia!

Pierwszy brzask oświecił bladem światłem walkę. Od strony lądu widać było ciżbę kozacką i Tatarów, jednych z twarzami przy kolbach piszczeli, drugich przegiętych w tył i ciągnących cięciwy łuków; od strony wody — dwie czajki dymiące i świecące ustawicznemi salwami wystrzałów. W środku leżały ciała, spokojnie już porozciągane po piasku.

W jednem z czółen stał pan Skrzetuski, wyższy nad innych, dumny, spokojny, z porucznikowskim buzdyganem w ręku i z gołą głową, bo mu strzała tatarska zerwała czapkę.

Wachmistrz zbliżył się ku niemu i szepnął:

— Panie, nie wytrzymamy — kupa za wielka!

Ale namiestnikowi chodziło już o to tylko, by poselstwo swoje krwią przypieczętować, pohańbienia godności nie dopuścić i zginąć nie bez sławy. Dlatego też, podczas gdy semenowie poczynili sobie z worów z żywnością rodzaj zasłon, z poza których razili nieprzyjaciela, on stał widny i na pociski wystawiony.

— Dobrze! — rzekł: — wyginiem do ostatniego.

— Wyginiem, batku! — krzyknęli semenowie.

— Ognia!

Czajki znów zadymiły. Z głębi wyspy poczęły napływać nowe tłumy, zbrojne w spisy i kosy. Napastnicy rozdzielili się na dwie kupy. Jedna podtrzymywała ogień, druga, złożona z dwustu przeszło mołojców i Tatarów, czekała tylko chwili stosownej do ręcznego ataku. Jednocześnie z szuwarów wyspy wysunęły się cztery czółna, które miały uderzyć na namiestnika z tyłu i z obu boków.

Zrobiło się już widno zupełnie. Dymy tylko porozciągały się długiemi pasmami w spokojnem powietrzu i przesłaniały pobojowisko.

Namiestnik kazał zwrócić się dwudziestu semenom ku atakującym statkom, które, gnane wioslami, pędziły z chyżością ptactwa po spokojnej wodzie rzecznej. Ogień, skierowany ku Tatarom i kozakom, idącym z głębi wyspy, osłabł przez to znacznie.

Tego też zdawali się czekać.

Wachmistrz znów zbliżył się ku namiestnikowi.

— Panie! Tatarzy biorą handżary w zęby; zaraz rzucą się na nas.

Jakoż trzystu blizko ordyńców z szablami w ręku, z nożami w zębach, gotowało się do ataku. Towarzyszyło im kilkudziesięciu zaporożców zbrojnych w kosy.

Atak miał się rozpocząć ze wszystkich stron,

bo napastnicze czółna przypłynęły już na strzał. Boki ich zakwitły dymami. Kule jak grad poczęły się sypać na ludzi namiestnika. Obie czajki napełniły się jękami. Po upływie kilkunastu minut połowa semenów poległa, reszta broniła się jeszcze rozpaczliwie. Twarze ich były zczerniałe od dymu, ręce ustawały, wzrok mącił się, krew zalewała oczy, rury muszkietów poczynały parzyć dłonie. Większa część była rannych.

W tej chwili wrzask straszny i wycie rozdarło powietrze. To ordyńcy ruszyli do ataku.

Dymy, spędzone ruchem masy ciał, rozproszyły się nagle i odsłoniły oczom dwie czajki namiestnika, pokryte czarniawym tłumem Tatarów, niby dwa trupy końskie, rozdzierane przez stada wilków. Tłum ten parł, kotłował się, wył, wspinał, zdawał się walczyć sam z sobą i ginął. Kilkunastu semenów dawało jeszcze odpór, a pod masztem stał pan Skrzetuski, z zakrwawioną twarzą, ze strzałą utkwioną aż po brzechwę w lewem ramieniu, i bronił się ze wściekłością. Postać jego wydawała się olbrzymią wśród otaczającego go tłumu, szabla migotała jak błyskawica. Uderzeniom odpowiadały jęki i wycie. Wachmistrz z drugim semenem pilnowali mu obu boków, i tłum cofał się chwilami z przerażeniem przed tą trójką, ale pchany z tyłu, pchał się sam i marł pod ciosami szabel.

— Żywych brać do atamana — wrzeszczały głosy w tłumie. — Poddaj się!

Ale pan Skrzetuski poddawał się już tylko Bogu, bo oto pobladł nagle, zachwiał się i runął na dno statku.

— Proszczaj, bat'ku! — ryknął z rozpaczą wachmistrz.

Ale po chwili padł także. Ruchliwa masa napastników pokryła czajki zupełnie.

ROZDZIAŁ XI.

W chacie kantarzeja [1]) wojskowego, na przedmieściu Hassan Basza w Siczy, siedziało przy stole dwóch zaporożców, pokrzepiając się palanką z prosa, którą czerpali ustawicznie z drewnianego szaflika, stojącego na środku stołu. Jeden, stary, już prawie zgrzybiały, był to Fyłyp Zachar, sam kantarzej, drugi Anton Tatarczuk, ataman czehryńskiego kurzenia, człowiek około lat czterdziestu, wysoki, silny, z dzikim wyrazem twarzy i skośnemi tatarskiemi oczyma. Obaj mówili z sobą z cicha, jakby w obawie, żeby ich kto nie podsłuchał.

---

[1]) Urzędnik wojskowy na Zaporożu, czuwający nad miarami i wagami w kramach, znajdujących się na tak zwanym Kramnym Bazarze w Siczy.

— Więc to dziś? — spytał kantarzej.

— Ledwie nie zaraz — odpowiedział Tatarczuk. — Czekają tylko na koszowego i Tuhajbeja, który z samym Chmielem pojechał na Bazawłuk, bo tam stoi orda. Towarzystwo zebrało się już na majdanie, a kurzeniowi jeszcze przed wieczorem zbiorą się na radę. Nim noc nastanie, będzie wszystko wiadomo.

— Hm! może być źle! — mruknął stary Fyłyp Zachar.

— Słysz, kantarzeju, a ty widział, że było pismo i do mnie?

— Juści widzialem, bom sam listy odnosił do koszowego, a jam człowiek piśmienny. Znaleźli przy Lachu trzy pisma; jedno do samego koszowego, drugie do ciebie, trzecie do młodego Barabasza. Wszyscy już w Siczy wiedzą o tem.

— A kto pisal? nie wiesz?

— Do koszowego pisał książę, bo na liście była pieczęć; kto do was, niewiadomo.

— Sochroni Bih!

— Jeślić cię tam jawnie przyjacielem Lachów nie nazywają, to nic nie będzie.

— Sochroni Bih! — powtórzył Tatarczuk.

— Widać się poczuwasz.

— Tfu! Do niczego się nie poczuwam.

— Może też koszowy wszystkie listy skręci, bo mu i o własny łeb chodzi. Było tak dobrze do niego pismo, jak do was.

— A może.

— Ale jeśli się poczuwasz, to...

Tu stary kantarzej zniżył głos jeszcze bardziej:

— Uchodź!

— Ale jak? i gdzie? — pytał niespokojnie Tatarczuk. — Koszowy na wszystkich ostrowach straż postawił, żeby się nikt do Lachów nie wymknął i nie dał znać, co się dzieje. Na Bazawłuku pilnują Tatarzy. Ryba się nie przeciśnie, ptak nie przeleci.

— To się skryj w samej Siczy, gdzie możesz.

— Znajdą. Chyba ty mnie schowasz między beczkami w bazarze? Ty mój krewniak!

— I brata rodzonego nie chowałbym. Boisz się śmierci, to się upij; pijany ani poczujesz.

— A może w listach nic niema?

— Może...

— Ot bieda! ot bieda! — rzekł Tatarczuk. — Nie poczuwam się do niczego. Ja dobry mołojec, Lachom wróg. Ale choćby i nic w liście nie było, czort wie, co Lach powie przed radą? Może mnie zgubić.

— To serdyty Lach; on nic nie powie!

— Byłeś dziś u niego?

— Byłem. Pomazałem mu rany dziegciem; nalałem gorzałki z popiołem w gardło. Będzie zdrów. To serdyty Lach! Mówią, że Tatarów

narznął na Chortycy, nim go wzięli, jak świń. Ty o Lacha bądź spokojny.

Ponury odgłos kotłów, w które bito na koszowym majdanie, przerwał dalszą rozmowę. Tatarczuk, usłyszawszy ten odgłos, drgnął i zerwał się na równe nogi. Nadzwyczajny niepokój malował się w jego twarzy i ruchach.

— Biją wezwanie na radę — rzekł, łowiąc ustami oddech. — Sochroni Bih! Ty, Fyłyp, nie mów, o czem ja z tobą tu gadał. Sochroni Bih!

To rzekłszy, Tatarczuk chwycił szaflik z palanką, przechylił go obiema rękoma do ust i pił, pił, jakby chciał się na śmierć zapić.

— Chodźmy! — rzekł kantarzej.

Odgłos kotłów huczał coraz donośniej.

Wyszli. Przedmieście Hassan Basza oddzielone było od majdanu tylko wałem opasującym kosz właściwy i bramą z wysoką basztą, na której widać było paszcze zatoczonych dział. W środku przedmieścia stał dom kantarzeja i chaty atamanów kramnych, naokół zaś dość obszernego placu szopy, w których mieściły się kramy. Były to wogóle nędzne budowy, klecone z bierwion dębowych, których w obfitości dostarczała Chortyca, a poszyte gałęziami i oczeretem. Same chaty, nie wyłączając kantarzejowej, podobniejsze były do szałasów, bo tylko dachy ich wznosiły się nad ziemią. Dachy te były czarne i zakopcone, gdyż jeśli w chacie

palono ogień, dym wydobywał się nietylko górnym otworem dachu, ale i przez całe poszycie, a wówczas można było mniemać, że to nie chata, jeno kupa gałęzi i oczeretów, w której wytapiają smołę. W chatach panowała wieczna ciemność, dlatego podtrzymywano w nich ustawicznie ogień z łuczywa i ze skarp dębowych. Szop kramnych było kilkadziesiąt, i dzieliły się na kurzeniowe, to jest stanowiące własność pojedyńczych kurzeniów, i gościnne, w których w chwilach spokoju handlowali niekiedy Tatarzy i Wołosi, jedni skórami, tkaninami wschodniemi, bronią i wszelkiego rodzaju zdobyczą, inni przeważnie winem. Ale gościnne kramy rzadko były zajęte, gdyż kupno zmieniało się najczęściej w tem dzikiem gnieździe na rabunek, od którego kantarzej, ani kramni atamanowie, nie mogli tłumów powstrzymać. Między szopami stało także trzydzieści ośm szynków kurzeniowych, a przed nimi leżeli zawsze wśród śmieci, wiórów, kłód dębowych i kup końskiego nawozu półmartwi z przepicia się zaporożcy, jedni w kamiennym śnie pogrążeni, drudzy z pianą na ustach, w konwulsyach lub atakach deliryum. Inni półpijani, wyjąc kozackie pieśni, spluwając, bijąc się lub całując, przeklinając kozaczy los, lub płacząc na kozaczą biedę, deptali po głowach i piersiach leżących. Dopiero z chwilą, gdy wyruszała jaka wyprawa na Tatarów lub

Ruś, nakazywano trzeźwość, i wówczas należących do wyprawy śmiercią karano za pijaństwo. Ale w zwykłych czasach, zwłaszcza na Kramnym bazarze, prawie wszyscy byli pijani: kantarzej i atamanowie kramni, sprzedający i kupujący. Kwaśny zapach nieszumowanej wódki, w połączeniu z zapachem smoły, ryb, dymu i końskich skór, nasycał wiecznie powietrze na całem przedmieściu, które wogóle pstrocizną kramów przypominało jakąś mieścinę turecką lub tatarską. Sprzedawano w nich wszystko, co się gdziekolwiek w Krymie, na Wołoszczyźnie lub wybrzeżach anatolskich dało zrabować. Więc jaskrawe tkaniny wschodnie, lamy, altembasy, złotogłowia, sukno, cyc, drelich i płótno, potrzaskane działa śpiżowe i żelazne, skóry, futra, suszone ryby, wiśnie i bakalie tureckie, naczynia kościelne, mosiężne półksiężyce złupione z minaretów i pozłacane krzyże zdarte z cerkwi [1]), proch i broń sieczną, kije do spis i siodła. A między tą mieszaniną przedmiotów i barw kręcili się ludzie, poprzybierani w szczątki najrozmaitszej odzieży, latem półnadzy, zawsze półdzicy,

[1]) Zaporożcy w czasie swych napadów nie oszczędzali nikogo i niczego. Do czasów Chmielnickiego nie było wcale cerkwi w Siczy. Pierwszą właśnie Chmielnicki wystawił; nie pytano tam również nikogo o wyznanie, i to, co opowiadają o religijnym nastroju niżowców, jest bajką.

okopceni od dymu, czarni, uwalani w błocie, pełni ciekących ran od ukąszeń olbrzymich komarów, których miryady unosiły się nad Czertomelikiem, i jako się rzekło wyżej: wiecznie pijani.

W tej chwili całe Hassan Basza jeszcze pełniejsze było ludzi, niż zwykle; zamykano bramy i szynki, wszyscy zaś śpieszyli na majdan siczowy, na którym miała się odbywać rada. Fyłyp Zachar i Anton Tatarczuk szli z innymi, ale ten ostatni ociągał się, szedł leniwo i pozwalał się wyprzedzać tłumom. Coraz żywszy niepokój malował się w jego twarzy. Tymczasem przeszli przez most na fosie, następnie przez bramę i znaleźli się na obszernym obronnym majdanie, otoczonym przez trzydzieści ośm wielkich drewnianych budynków. Były to kurzenie, a raczej domy kurzeniowe, rodzaj koszar wojskowych, w których mieszkali kozacy. Kurzenie owe, jednej wielkości i miary, niczem nie różniły się od siebie, chyba nazwami przybranemi od rozmaitych miast ukraińskich, od których brały nazwę także i pułki. W jednym kącie majdanu wznosił się dom radny; zasiadali w nim atamani pod wodzą koszowego, tłumy zaś, czyli tak zwane «towarzystwo» obradowało pod gołem niebem, wysyłając co chwila deputacye do starszyzny, a czasem wdzierając się gwałtem do radnego domu i teroryzując obrady.

Na majdanie ciżba już była ogromna, poprzednio bowiem ataman koszowy pościągał do Siczy wszystkie wojska, rozproszone po wyspach, rzeczkach i ługach, «towarzystwo» zatem było liczniejsze, niż zwykle. Słońce kłoniło się ku zachodowi, więc wcześnie zapalono kilkanaście beczek ze smołą; tu i owdzie stały także beczki z wódką, które każdy kurzeń dla siebie wytaczał, a które niemało dodawały energii obradom. Porządku między kurzeniami pilnowali esaułowie, zbrojni w tęgie kije dębowe, dla hamowania obradujących, i w pistolety, dla obrony własnego życia, które często bywało w niebezpieczeństwie.

Fyłyp Zachar i Tatarczuk weszli prosto do domu obrad, gdyż jeden jako kantarzej, drugi jako ataman kurzeniowy mieli prawo zasiadać między starszyzną. W izbie radnej był tylko jeden mały stół, przed którym siedział pisarz wojskowy. Atamanowie i koszowy mieli swoje miejsca na skórach pod ścianami. Ale w tej chwili miejsca nie były jeszcze zajęte. Koszowy chodził wielkimi krokami po izbie, kurzeniowi zaś, zebrani w małe gromadki, rozmawiali z cicha, przerywając sobie kiedy niekiedy głośniejszemi klątwami. Tatarczuk zauważył, że znajomi nawet i przyjaciele udają, iż go nie widzą, zbliżył się przeto zaraz do młodego Barabasza, który mniej więcej w takiem samem był położeniu.

Inni spoglądali na nich z podełbów, z czego młody Barabasz niewiele sobie robił, nie rozumiejąc dobrze, o co idzie. Był to człowiek wielkiej piękności i nadzwyczajnej siły, której jedynie zawdzięczał swój stopień kurzeniowego atamana, bo zresztą słynął w całej Siczy ze swej głupoty. Zjednała mu ona przydomek Durnego atamana i przywilej budzenia śmiechów każdem słowem między starszyzną.

— Poczekawszy trochę, taj może i pójdziem z kamieniem u szyi w wodę! — szepnął mu Tatarczuk.

— A poco? — spytał Barabasz.

— A to nie wiesz o listach?

— Trastia joho maty mordowała! Czy to ja pisałem jakie listy?

— Obacz, jak spoglądają na nas z podełbów.

— Kołyb ja kotoroho w łob, toby nie patrzał, boby mu ślepie wypłynęły.

Tymczasem krzyki zzewnątrz dały znać, że coś zaszło. Jakoż drzwi izby radnej otwarły się szeroko, i wszedł Chmielnicki z Tuhaj-bejem. Ich to witano tak radośnie. Kilka miesięcy temu, Tuhaj-bej, jako najwaleczniejszy z murzów i postrach niżowców, był przedmiotem strasznej nienawiści w Siczy — teraz «towarzystwo» rzucało czapki w górę na jego widok, uważając go jako dobrego przyjaciela Chmielnickiego i zaporożców.

Tuhaj-bej wszedł naprzód, a za nim Chmielnicki z buławą w ręku, jako hetman wojsk zaporoskich. Godność tę piastował od czasu, jak wrócił z Krymu, z wyjednanymi od chana posiłkami. Tłumy porwały go wówczas na ręce i, odbiwszy skarbnicę wojskową, przyniosły mu buławę, chorągiew i pieczęć, które zwykle przed hetmanem noszono. To też zmienił się niemało. Widać było, że nosił w sobie straszliwą siłę całego Zaporoża. Nie był to już Chmielnicki pokrzywdzony, uciekający na Sicz przez Dzikie Pola, ale Chmielnicki hetman, krwawy duch, olbrzym, mściciel własnej krzywdy na milionach.

A jednak nie zerwał łańcuchów, włożył tylko nowe, cięższe. Widać to było z jego stosunku z Tuhaj-bejem. Ten hetman Zaporoża w sercu Zaporoża brał drugie miejsce za Tatarem, znosił w pokorze jego dumę i pogardliwe nad wszelki wyraz obejście. Był to stosunek lennika do zwierzchniego pana. Ale tak musiało być. Chmielnicki cały swój kredyt u kozaków zawdzięczał Tatarom i łasce chanowej, której przedstawicielem był dziki i wściekły Tuhaj-bej. Ale Chmielnicki umiał godzić dumę rozsadzającą mu pierś z pokorą, tak dobrze, jak odwagę z chytrością. Był to lew i lis, orzeł i wąż. Pierwszy to raz od początku kozaczyzny, Tatar poczynał sobie jak pan w środku Siczy — ale takie czasy przy-

szły. «Towarzystwo» rzucało przecie czapki w górę na widok pohańca. Takie czasy nadeszły.

Narada się rozpoczęła. Tuhaj-bej zasiadł w środku, na grubszym pęku skór, i podwinąwszy nogi, począł gryźć suszone ziarnka słoneczników i wypluwać zżute skorupki przed siebie na środek izby. Po prawej jego stronie zasiadł Chmielnicki z buławą, po lewej koszowy, a ataman i deputacya od «towarzystwa» dalej pod ścianami. Uciszyły się rozmowy, zzewnątrz tylko przychodził gwar i głuchy szum tłuszczy, obradującej pod gołem niebem, podobny do szumu fal. Chmielnicki począł mówić [1]):

— Mości panowie! Z łaski, przychylności i «dyszkrecyi» najjaśniejszego carza krymskiego, pana wielu ludów, pokrewnego ciałom niebieskim, z pozwolenia miłościwego króla polskiego Władysława, naszego pana, i dobrej ochoty odważnych wojsk zaporoskich, ufni w naszą niewinność i sprawiedliwość Bożą, idziemy pomścić strasznych i okrutnych krzywd naszych, które po chrześcijańsku cierpieliśmy, pókiśmy mogli, od nieszczerych Lachów, komisarzy, starostów i ekonomów, całej szlachty i Żydów. Nad któ-

---

[1]) Sposób obradowania na Siczy opisany jest w dyaryuszu Eryka Lassoty, posła cesarskiego na Zaporoże w r. 1594.

remi krzywdami jużeście mości panowie i całe wojsko zaporoskie wiele łez wyleli i mnie dlatego buławę dali, abym się za niewinność naszą i całych wojsk snadniej mógł upominać. Co ja uważając za wielką łaskę mości panów dobrodziei moich, najjaśniejszego carza o pomoc prosić jechałem, którą nam ofiarował. Ale będąc w gotowości i ochocie, niemałom się zasmucił, słysząc, iż mogą być między nami zdrajcy, którzy z nieszczerymi Lachami w komitywę wchodzą i o naszej gotowości im donoszą — co jeśliby tak było, tedy ukarani być mają wedle woli i dyszkrecyi mości panów. A my prosim, abyście listów wysłuchali, które tu poseł od *niedruga* naszego, księcia Wiśniowieckiego przywiózł, nie posłem, ale szpiegiem będąc i gotowość naszą i dobrą ochotę Tuhaj-beja naszego przyjaciela chcąc podpatrzyć i przed Lachami zdradzić. Co, abyście także osądzili, jeśli ma być ukarany, jak i ci, do których listy przywiózł, a o których koszowy, jako wierny przyjaciel mój, Tuhaj-beja i całego wojska, zaraz nas uwiadomił.

Chmielnicki umilkł; gwar za oknami powiększał się coraz bardziej, więc pisarz wojskowy wstał i zaczął czytać naprzód pismo książęce do koszowego atamana, zaczynające się od słów: «My po Bożej myłości, kniaź i hospodyn na Łubniach, Chorolu, Przyłuce, Hadziaczu etc., wojewoda ruski etc., starosta etc.» Pismo było czy-

sto urzędowe. Książę, zasłyszawszy, iż wojska z «Ługów» są ściągane, pytał atamana, czyby to była prawda, i wzywał go zarazem, aby tego dla spokojności krajów chrześcijańskich zaniechał. Chmielnickiego zaś, jeśliby Sicz podburzał, aby komisarzom wydał, którzy sami się o to upomną. Drugi list był pana Grodzickiego, również do wielkiego atamana, trzeci i czwarty Zaćwilichowskiego i starego pułkownika czerkaskiego do Tatarczuka i Barabasza. We wszystkich nie znajdowało się nic, coby mogło podawać w podejrzenie osoby, do których były adresowane. Zaćwilichowski prosił jedynie Tatarczuka, aby zaopiekował się oddawcą listu i aby ułatwił mu wszystko, czegoby poseł zażądał.

Tatarczuk odetchnął.

— Co mówicie, mości panowie, o tych pismach? — spytał Chmielnicki.

Kozacy milczeli. Wszelkie obrady, dopóki wódka nie rozgrzała głów, zaczynały się zawsze w ten sposób, iż żaden z atamanów nie chciał pierwszy głosu zabrać. Jako ludzie prości a chytrzy, czynili to głównie z obawy wyrwania się z głupstwem, któreby mogło wnioskodawcę na śmiech narazić, lub zjednać mu na całe życie szyderczy przydomek. Bo tak i było w Siczy, gdzie wśród największego prostactwa, zmysł do przedrwiwania niesłychanie był rozwinięty, również jak obawa przed szyderstwem.

Kozacy tedy milczeli. Chmielnicki znowu głos zabrał:

— Ataman koszowy brat nasz i szczery przyjaciel. Ja atamanowi tak wierzę, jak duszy własnej, a ktoby co innego powiadał, tenby sam zdradę zamyślał. Ataman stary druh i żołnierz.

To rzekłszy, wstał i ucałował koszowego.

— Mości panowie! — rzekł na to koszowy: — ja wojska ściągam, a hetman niech prowadzi; co do posła, kiedy go do mnie przysłali, to on mój, a kiedy mój, to wam go daruję.

— Wy, mości panowie deputacya, pokłońcie się atamanowi, — rzekł Chmielnicki — bo on sprawiedliwy człowiek, i idźcie powiedzieć «towarzystwu», że jeśli kto jest zdrajca, to nie on zdrajca; on pierwszy straże postawił, on sam kazał łapać zdrajców, coby do Lachów szli. Wy panowie-deputacya powiedzcie, że nie on zdrajca, że on najlepszy z nas wszystkich.

Panowie-deputacya pokłonili się w pas naprzód Tuhaj-bejowi, który przez cały czas z największą obojętnością żuł swoje ziarnka słoneczników, następnie Chmielnickiemu, koszowemu — i wyszli z izby.

Po chwili wrzaski radosne za oknami dały znać, że deputacya spełniła polecenie.

— Niech żyje nasz koszowy! niech żyje koszowy! — wołały chrapliwe głosy z taką siłą,

że aż ściany izby zdawały się drżeć w posadach.

Jednocześnie huknęły wystrzały z samopałów i piszczeli.

Deputacya wróciła i znowu zasiadła w kącie izby.

— Mości panowie! — rzekł Chmielnicki, gdy uciszyło się cokolwiek za oknami. — Już wy mądrze osądzili, że koszowy ataman człowiek sprawiedliwy. Ale jeśli ataman nie zdrajca, to kto zdrajca? Kto ma przyjaciół między Lachami? z kim oni w konszachty wchodzą? do kogo listy pisują? komu osobę posła zlecają? kto zdrajca?

To mówiąc, Chmielnicki podnosił głos coraz wyżej i strzygł złowrogo oczyma w stronę Tatarczuka i młodego Barabasza, jakby chciał ich wskazać wyraźnie. W izbie powstał szmer, kilka głosów poczęło wołać: «Barabasz i Tatarczuk!» Niektórzy kurzeniowi powstali z miejsc, między deputacyą dały się słyszeć wołania: «Na pohybel!»

Tatarczuk zbladł, a młody Barabasz począł spoglądać zdumionemi oczyma po obecnych. Leniwa myśl jego siliła się przez niejaki czas odgadnąć, za co go oskarżają, nakoniec rzekł:

— *Ne bude sobaka miasa isty!*

To rzekłszy, wybuchnął śmiechem idyoty, a za nim i inni. I nagle większa część kurze-

niowych poczęła się śmiać dziko, sama nie wiedząc dlaczego.

Z za okna dochodziły krzyki coraz głośniejsze; widać tam wódka poczęła rozgrzewać już głowy. Szum fali ludzkiej potężniał z każdą chwilą.

Ale Anton Tatarczuk wstał i, zwróciwszy się do Chmielnickiego, począł mówić:

— Co ja wam zrobił, mości hetmanie zaporoski, że na śmierć moją nastajecie? W czem ja wam winien? Pisał do mnie komisar Zaćwilichowski list — taj co? To i kniaź pisał do koszowego! A czy ja odebrał list? Nie! A jakby odebrał, tak coby zrobił? Ot poszedłby do *pysara* i kazałby sobie przeczytać, *bo ni pisaty, ni czytaty ne umiju.* I wyby zawsze wiedzieli, co w liście. A Lacha ja i na oczy nie widział. Tak czy ja zdrajca? Hej, bracia zaporoscy, Tatarczuk chodził z wami do Krymu, a jak chodzili na Wołoszę, to chodził na Wołoszę; jak chodzili pod Smoleńsk, to chodził pod Smoleńsk, bił się z wami, dobrymi mołojcami, żył z wami, dobrymi mołojcami — i krew przelewał z wami, dobrymi mołojcami — i głodem marł z wami, dobrymi mołojcami, tak on nie Lach, nie zdrajca, ale kozak, wasz brat, a jeśli pan hetman na śmierć jego nastaje, to niech powie, czemu nastaje! Co ja mu zrobił, w czem nieszczerość oka-

zał? — a wy, bracia, pomiłujcie i sądźcie sprawiedliwie!

— Tatarczuk dobry mołojec! Tatarczuk sprawiedliwy człowiek! — ozwało się kilka głosów.

— Ty Tatarczuk dobry mołojec, — rzekł Chmielnicki — i ja na ciebie nie nastaję, boś ty mój druh i nie Lach, ale kozak, nasz brat. Bo gdyby Lach był zdrajca, to jabym się nie smucił i nie płakał, ale jeśli dobry mołojec zdrajca, mój druh zdrajca, to mnie ciężko na sercu i żal dobrego mołojca. A skoroś w Krymie i na Wołoszy i pod Smoleńskiem bywał, to jeszcze większy twój grzech, żeś teraz nieszczerze chciał gotowość i ochotę wojsk zaporoskich przed Lachem zdradzić! Tobie pisali, byś ty mu ułatwił, czegoby zażądał, a powiedzcie, mości panowie atamani, czegoby Lach mógł żądać? Czy nie śmierci mojej i mojego życzliwego przyjaciela Tuhaj-beja? Czy nie zguby wojsk zaporoskich? Tak, ty Tatarczuk winien i już niczego innego nie dokażesz. A do Barabasza pisał stryj jego, pułkownik czerkaski, Czaplińskiemu druh i Lachom druh, który przywileje u siebie chował, by ich wojsko zaporoskie nie dostało, co gdy tak jest, a klnę się Bogiem, że nie inaczej jest, więc wy oba winni i proście pomiłowania atamanów, a ja z wami prosić będę, chociaż ciężka wasza wina i zdrada jawna.

Tymczasem z za okna dochodził już nie

szum i gwar, ale jakby łoskot jaki burzy. Towarzystwo chciało wiedzieć, co się dzieje w izbie radnej, i wysłało nową deputacyę.

Tatarczuk poczuł, że jest zgubiony. Teraz przypomniał sobie, że tydzień temu przemawiał wśród atamanów przeciw oddaniu buławy Chmielnickiemu i przymierzu z Tatarami. Zimne krople potu wystąpiły mu na czoło: zrozumiał, że już niema ratunku. Co do młodego Barabasza, jasnem było, iż gubiąc go, Chmielnicki chciał zemścić się nad starym pułkownikiem czerkaskim, który synowca swego kochał głęboko. Jednakże Tatarczuk nie chciał umierać. Nie bladłby on przed szablą, przed kulą, nawet przed palem — ale śmierć taka, jaka go czekała, przerażała go do szpiku kości, więc korzystając z chwili ciszy, która zapanowała po słowach Chmielnickiego, krzyknął przeraźliwie:

— Na imię Chrysta! bracia atamany, druhy serdeczne, nie gubcie niewinnego, toż ja Lacha nie widział, nie gadał z nim! Pomiłujcie, bracia! Nie wiem, czegoby Lach ode mnie chciał, spytajcie go sami! Ja klnę się Chrystem, Spasem, Świętą Przeczystą, Świętym Mikołajem cudotwórcą, Świętym Michałem Archaniołem, że duszę niewinną zgubicie!

— Przyprowadzić Lacha! — zawołał starszy kantarzej.

— Lacha tu! Lacha! — wołali kurzeniowi.

Wszczęło się zamieszanie; jedni rzucili się do przyległej izby, w której więzień był zamknięty, by przywieść go przed radę, inni zbliżali się groźnie do Tatarczuka i Barabasza. Pierwszy Hładki, ataman mirgorodzkiego kurzenia, krzyknął: «Na pohybel!» Deputacya powtórzyła okrzyk, Czarnota zaś skoczył ku drzwiom i, otworzywszy je, wołał do zgromadzonego tłumu:

— Mości panowie towarzystwo! Tatarczuk zdrajca i Barabasz zdrajca — na pohybel im!

Tłuszcza odpowiedziała wyciem straszliwem. W izbie wszczęło się zamieszanie. Wszyscy kurzeniowi powstali ze swych miejsc. Jedni wołali: «Lacha! Lacha!» inni starali się rozruch uciszyć, a wtem drzwi pod naciskiem tłumu roztworzyły się naoścież, i do środka wpadła tłuszcza obradująca na dworze. Straszliwe postacie, upojone wściekłością, napełniły izbę, wrzeszcząc, wywijając rękoma, zgrzytając zębami i zionąc zapach gorzałki: «Smert Tatarczuku! i Barabaszu na pohybel! Dawajcie zdrajców! na majdan z nimi!» krzyczały pijane głosy. «Bij! ubij!» Setki rąk wyciągnęły się w tej chwili po nieszczęsne ofiary. Tatarczuk nie stawiał oporu, jęczał tylko przeraźliwie, ale młody Barabasz począł bronić się ze straszną siłą. Zrozumiał nakoniec, że go chcą zamordować; strach, rozpacz i wściekłość odbiły się na jego twarzy;

piana okryła mu wargi, z piersi wydobył się ryk zwierzęcy. Po dwakroć wyrywał się z rąk oprawców i po dwakroć ręce ich chwytały go za ramiona, za piersi, za brodę i oseledec; on szamotał się, kąsał, ryczał, upadał na ziemię i znów podnosił się okrwawiony, straszny. Podarto na nim ubranie, wyrwano mu oseledec z głowy, wybito oko, nakoniec przygniecionemu do ściany złamano rękę. Wówczas padł. Oprawcy porwali go za nogi i wraz z Tatarczukiem wywlekli na majdan. Tam dopiero, przy blasku smolistych beczek i stosów ognia, rozpoczęła się doraźna egzekucya. Kilka tysięcy ludzi rzuciło się na skazanych i darło ich w sztuki, wyjąc i walcząc z sobą o przystęp do ofiar. Deptano ich nogami, wyrywano kawały ciała; ciżba tłoczyła się koło nich tym strasznym konwulsyjnym ruchem rozszalałych mas. Chwilowo krwawe ręce podnosiły w górę dwie bezkształtne, niepodobne już do ludzkich postaci bryły, to znowu ciskano je na ziemię. Dalej stojący wrzeszczeli w niebogłosy: jedni, żeby wrzucić ofiary w wodę, drudzy, by je wtłoczyć w beczki palącej się smoły. Pijani rozpoczęli bójkę z sobą. Z szaleństwa zapalono dwie kufy z wódką, które oświeciły tę piekielną scenę drgającem, błękitnem światłem. Z nieba patrzał na nią także księżyc cichy, jasny, pogodny.

Tak «towarzystwo» karało swoich zdrajców.

A w izbie radnej, z chwilą, jak kozactwo wywlekło za drzwi Tatarczuka i młodego Barabasza, uciszyło się znowu, i atamani zajęli dawne miejsca pod ścianami, bo z przyległego alkierza przyprowadzono więźnia.

Cień padał na jego twarz, gdyż i ogień na kominie przygasł — i w półświetle widać było tylko wyniosłą postać, trzymającą się prosto i dumnie, choć ręce jej związane były łykiem. Ale Hładki dorzucił wiązkę łuczywa, po chwili bujny płomień strzelił w górę i oblał jasnem światłem oblicze więźnia, który zwrócił się ku Chmielnickiemu.

Ujrzawszy go, Chmielnicki drgnął.

Więzień — był to pan Skrzetuski.

Tuhaj-bej wypluł łuskwiny słoneczników i mruknął po rusińsku:

— *Ja toho Lacha znaju — on buw u Krymu.*

— Na pohybel mu! — zawołał Hładki.

— Na pohybel! — powtórzył Czarnota.

Chmielnicki opanował już wrażenie. Powiódł tylko oczyma po Hładkim i Czarnocie, którzy pod wpływem tego wzroku umilkli, następnie zwróciwszy się do koszowego, rzekł:

— *I ja jeho znaju.*

— Ty skąd? — spytał koszowy Skrzetuskiego.

— W poselstwiem jechał do ciebie, atamanie koszowy, gdy mnie zbójcy na Chortycy na-

padli i wbrew obyczajom, obserwowanym u najdzikszych narodów, ludzi mi wybili, a mnie, nie bacząc na godność mą poselską i urodzenie, zranili, znieważyli, i jako jeńca tu przywiedli, o co pan mój J. O. książę Jeremi Wiśniowiecki będzie się umiał u ciebie, atamanie koszowy, upomnieć.

— A czego ty nieszczerość swoją okazał? czemu ty dobrego mołojca obuchem rozszczepił? czemu ty ludzi nabił, we czworo tylc, ile was wszystkich było? A tu z listem do mnie jechał, by na gotowość naszą spoglądać i Lachom o niej donosić? Wiemy także, że ty i do zdrajców wojska zaporoskiego miał listy, aby z nimi zgubę wszystkiego wojska knować, zaczem nie jako poseł, ale jako zdrajca będziesz przyjęty i sprawiedliwie ukarany.

— Mylisz się, atamanie koszowy, i ty, mości hetmanie samozwańczy — rzekł namiestnik, zwracając się do Chmielnickiego. — Jeślim listy miał, to czyni tak każdy poseł, który w obce strony jedzie, że od znajomych do znajomych listy bierze, by i sam miał przez to komitywę. A jam tu jechał z pismem książęcem, nie zgubę waszą knować, ale od takich was postępków powstrzymać, które nieznośny paroksyzm na Rzeczpospolitą, a na was i na całe wojsko zaporoskie ostatnią zagładę ściągną. Na kogóż to bowiem bezbożną rękę podnosicie? Przeciw ko-

mu, wy, co się obrońcami chrześcijaństwa nazywacie, z pogany przymierze czynicie? Przeciw królowi, przeciw stanowi szlacheckiemu i całej Rzeczypospolitej. Wy przeto, nie ja, zdrajcami jesteście, i to wam powiadam, iż jeśli pokorą i posłuszeństwem nie zgładzicie win waszych, tedy biada wam! Zaliż dawne to czasy Pawluka i Nalewajki? Zali wyszła już wam z pamięci ich kara? Pomnijcie tedy, że *patientia* Rzeczypospolitej już wyczerpana i miecz wisi nad głowami waszemi.

— Łajesz, wraży synu, by się wykręcić i śmierci ujść! — zawołał koszowy. — Aleć ci nie pomoże ni groźba, ni wasza łacina lacka.

Inni też atamanowie poczęli zębami zgrzytać i trzaskać w szable, a pan Skrzetuski podniósł głowę jeszcze wyżej i tak mówił:

— Nie myśl, atamanie koszowy, bym się śmierci obawiał, albo żywota bronił, albo się z mej niewinności wywodził. Szlachcicem będąc, od równych tylko sobie sądzon być mogę i nie przed sędziami tu stoję, jeno przed zbójcami, nie przed szlachtą, jeno przed chłopstwem, nie przed rycerstwem, jeno przed barbarzyństwem, i wiem dobrze, że się od śmierci nie wybiegam, którą wy też dopełnicie miary swej nieprawości. Przede mną jest śmierć i męka, ale za mną moc i zemsta całej Rzeczypospolitej, przed którą drżyjcie wszyscy.

Jakoż wyniosła postawa, wzniosłość mowy i imię Rzeczypospolitej silne zrobiły wrażenie. Atamanowie spoglądali na siebie, milcząc. Przez chwilę wydało im się, że przed nimi stoi nie jeniec, ale groźny poseł potężnego narodu. Tuhajbej zaś mruknął:

— *Serdytyj Lach!*

— *Serdytyj Lach!* — powtórzył Chmielnicki.

Gwałtowne dobijanie się do drzwi przerwało dalszą ich rozmowę. Na majdanie egzekucya szczątków Tatarczuka i Barabasza była właśnie skończona; towarzystwo wysyłało nową deputacyę.

Kilkunastu kozaków okrwawionych, zziajanych, okrytych potem, pijanych, weszło do izby. Stanęli przy drzwiach i wyciągając ręce, jeszcze dymiące od krwi, poczęli mówić:

— Towarzystwo kłania się panom starszyźnie — tu pokłonili się wszyscy w pas — i prosi, żeby im wydać tego Lacha, *szczob z nym poihraty, jak z Barabaszom i Tatarczukom.*

— Wydać im Lacha! — krzyknął Czarnota.

— Nie wydawać — wołał inny. — Niech czekają! On poseł!

— Na pohybel mu! — ozwały się różne głosy.

Następnie ucichli wszyscy, czekając, co powiedzą koszowy i Chmielnicki.

— Towarzystwo prosi; a nic, to samo weźmie — powtórzyli deputaci.

Zdawało się, że pan Skrzetuski zgubiony jest bez ratunku, gdy wtem Chmielnicki pochylił się do ucha Tuhaj-beja.

— To twój jeniec — szepnął: — jego Tatarzy wzięli, on twój. Dasz-li go sobie zabrać? To bogaty szlachcic, a i bez tego kniaź Jerema złotem za niego zapłaci.

— Dawajcie Lacha — wołali coraz groźniej kozacy.

Tuhaj-bej przeciągnął się na swojem siedzeniu i wstał. Twarz zmieniła mu się w jednej chwili, oczy rozszerzyły się jak u żbika, zęby poczęły błyskać. Nagle skoczył jak tygrys przed mołojców, dopominających się o jeńca.

— Precz, capy, psy niewierne! niewolnicy! swynojady! — ryknął, chwytając za brody dwóch zaporożców i targając niemi ze wściekłością. — Precz pijanice, bydlęta nieczyste! gady plugawe! wy mnie jasyr zabierać przyszli, a ot, ja wam tak...! capy! — To mówiąc, targał za brody coraz innych mołojców, nakoniec zwaliwszy jednego, począł go deptać nogami. — Na twarz, niewolnicy! bo was w jasyr zapędzę, bo Sicz całą nogami tak zdepczę, jak was! z dymami puszczę, ścierwem waszem pokryję!

Deputaci cofali się przerażeni — straszliwy przyjaciel pokazał, co umie.

I dziwna rzecz: na Bazawłuku stało tylko sześć tysięcy Ordy! Prawda, że za nimi stał jeszcze chan z całą potęgę krymską, ale w samej Siczy było kilkanaście tysięcy mołojców, prócz tych, których Chmielnicki wysłał był już na Tomakówkę — a jednakże ani jeden głos protestacyi nie podniósł się przeciw Tuhaj-bejowi. Zdawaćby się mogło, że sposób, w jaki groźny murza obronił jeńca, był jedynie skuteczny, że trafił odrazu do przekonania zaporożców, którym tatarska pomoc była w tej chwili niezbędną. Deputacya wypadła na majdan, krzycząc do tłumów, że nie będą z Lachem igrały, bo to jeniec Tuhaj-beja, a Tuhaj-bej, każe, *rozserdywsia!* «Brody nam powyrywał!» wołali. Na majdanie też poczęto zaraz powtarzać: «Tuhaj-bej *rozserdywsia!*» — «*Rozserdywsia!* — wołały żałośnie tłumy — *rozserdywsia! rozserdywsia!*» — a w kilka chwil jakiś przeraźliwy głos jął śpiewać koło ogniska:

Hej, hej!
Tuhaj-bej
Rozserdywsia duże!
Hej, hej!
Tuhaj-bej,
Ne serdysia, druże!

Wnet tysiące głosów powtórzyły: «Hej, hej! Tuhaj-bej» — i oto powstawała jedna z tych pieśni, które potem, rzekłbyś, wicher roznosił po całej Ukrainie i trącał niemi o struny lir i teorbanów.

Ale nagle i pieśń została przerwana, bo przez bramę, od strony Hassan-Basza, wpadło kilkunastu ludzi i, przedzierając się przez tłum, krzycząc: «Z drogi! z drogi!» dążyło co sił w stronę radnego domu. Atamani zabierali się już do wyjścia, gdy nowi ci goście wpadli do izby.

— *Pyśmo* do hetmana! — wołał stary kozak.

— Skąd wy?

— My czehryńcy. Dzień i noc *z pyśmom jidem*. Oto jest.

Chmielnicki wziął list z rąk kozaka i począł czytać. Nagle twarz zmieniła mu się, przerwał czytanie i rzekł donośnym głosem:

— Mości panowie atamani! Hetman wielki wysyła syna Stefana z wojskiem na nas. Wojna!

W izbie powstał dziwny szmer; niewiadomo, czy szmer radości, czy przerażenia. Chmielnicki wystąpił na środek izby, wsparł się pod boki, oczy jego miotały błyskawice, a głos brzmiał groźnie i rozkazująco:

— Kurzeniowi do kurzeniów! Uderzyć z dział na wieży! Rozbić beczki z wódką! Jutro świtaniem ruszamy!

Od tej chwili kończyły się na Siczy obrady

zbiorowe, rządy atamanów, sejmy i przewaga towarzystwa. Chmielnicki brał w ręce nieograniczoną władzę. Oto przed chwilą, z obawy, aby głos jego nie był niewysłuchany przez burzliwe towarzystwo, musiał jeńca podstępem bronić i podstępem gubić niechętnych; teraz był panem życia i śmierci wszystkich. Tak zawsze bywało. Przed i po wyprawie, choćby hetman już był obrany, tłum narzucał jeszcze atamanom i koszowemu swoją wolę, której niebezpiecznie było się opierać. Ale gdy tylko wyprawa została otrąbioną, towarzystwo stawało się wojskiem, podległem wojskowej dyscyplinie, kurzeniowi oficerami, a hetman wodzem-dyktatorem.

Dlatego też usłyszawszy rozkazy Chmielnickiego, atamanowie wypadli natychmiast do swoich kurzeniów. Narada była skończona.

Po chwili huk dział z bramy, prowadzącej z Hassan-Basza do siczowego majdanu, zatrząsł ścianami izby i rozległ się posępnem echem po całym Czertomeliku, zwiastując wojnę.

Rozpoczynał on także epokę w dziejach dwóch narodów, ale o tem nie wiedzieli ni pijani siczowcy, ni sam hetman zaporoski.

ROZDZIAŁ XII.

Chmielnicki ze Skrzetuskim poszli na nocleg do koszowego, a z nimi i Tuhaj-bej, któremu za późno było wracać na Bazawłuk. Dziki bej traktował namiestnika jako jeńca, który miał być za wysoką cenę wykupiony, zatem nie jak niewolnika i z respektem, większym nawet może niż kozaków, bo go w swoim czasie jako książęcego posła na dworze chanowym widywał. Co widząc, koszowy zaprosił go do swej chaty i również zmienił z nim postępowanie. Stary ataman był to człowiek duszą i ciałem oddany Chmielnickiemu, który go zawojował i owładnął; owóż zauważył, że Chmielnickiemu chodziło widocznie podczas narad o ocalenie jeńca. Ale zdziwił się jeszcze bardziej, gdy, zaledwie zasiedli w chacie, Chmielnicki zwrócił się do Tuhaj-beja.

— Tuhaj-beju! — rzekł — ile myślisz wziąć wykupna za tego jeńca?

Tuhaj-bej popatrzał na Skrzetuskiego i rzekł:

— Tyś mówił, że to znaczny człowiek, a ja wiem, że to poseł strasznego kniazia, a straszny kniaź kocha swoich. *Bismillach!* jeden zapłaci i drugi zapłaci — razem...

Tu Tuhaj-bej zamyślił się:

— Dwa tysiące talerów.

Chmielnicki na to:

— Dam ci dwa tysiące talerów.

Tatar myślał przez chwilę. Jego skośne oczy zdawały się nawskroś przenikać Chmielnickiego.

— Ty dasz trzy — rzekł.

— Dlaczego mam dać trzy, gdyś sam dwu żądał?

— Bo jeśli go chcesz mieć, to tobie na tem zależy, a jeśli ci zależy, to dasz trzy.

— On mnie życie ocalił.

— Alła! to warte tysiąc więcej.

Tu Skrzetuski wtrącił się do targu.

— Tuhaj-beju! — rzekł z gniewem. — Z książęcego skarbca nie mogę ci nic obiecywać, ale choćbym miał fortunę własną poszarpać, to sam dam trzy. Mam też blizko tyle u księcia na prowizyi i wioskę dobrą, co starczy. A temu hetmanowi nie chcę wolności i zdrowia zawdzięczać.

— A skąd ty wiesz, co ja z tobą uczynię?— rzekł Chmielnicki.

A potem, zwróciwszy się do Tuhaj-beja, mówił:

— Wojna się rozpocznie. Poślesz do kniazia, ale nim poseł wróci, dużo wody w Dnieprze upłynie, a ja ci jutro na Bazawłuk odwiozę sam pieniądze.

— Daj cztery, to i nie będę z Lachem gadał — odparł niecierpliwie Tuhaj-bej.

— Dam cztery, na twoje słowo.

— Mości hetmanie,—rzekł koszowy— chcesz,

to ci zaraz wyliczę. Mam tu pod ścianą, może i więcej.

— Jutro powieziesz na Bazawłuk — rzekł Chmielnicki.

Tuhaj-bej przeciągnął się i ziewnął.

— Spać mi się chce — rzekł. — Jutro też przededniem na Bazawluk muszę ruszyć. Gdzie mam spać?

Koszowy wskazał mu pęk skór owczych pod ścianą.

Tatar rzucił się na posłanie. Po niejakim czasie począł chrapać, jak koń.

Chmielnicki przeszedł się kilkakrotnie po wązkiej izbie i rzekł:

— Sen ucieka mnie od powiek. Nie usnę. Daj się czego napić, mości koszowy.

— Gorzałki, czy wina?

— Gorzałki. Nie usnę.

— Na niebie już kurki — rzekł koszowy.

— Późno! Idź i ty spać, stary druhu. Napij się i idź.

— Na sławę i szczęście!

— Na szczęście!

Koszowy obtarł gębę rękawem, następnie podał rękę Chmielnickiemu i, odszedłszy w drugi koniec izby, zakopał się niemal w owcze skóry, krew bowiem miał już przez wiek ostudzoną.

Wkrótce chrapanie jego zawtórowało chrapaniu Tuhaj-beja.

Chmielnicki siedział za stołem, pogrążony w milczeniu.

Nagle rozbudził się, spojrzał na Skrzetuskiego i rzekł:

— Mości namiestniku, jesteś wolny.

— Wdzięcznym ci, mości hetmanie zaporoski, luboć, nie ukrywam, że wolałbym komu innemu za wolność dziękować.

— Tedy nie dziękuj. Ocaliłeś mi życie, jam ci też dobrem odpłacił, teraz kwita. A i to ci muszę jeszcze powiedzieć, iż cię zaraz nie puszczę, chyba mi słowo rycerskie dasz, iż wróciwszy, nie powiesz ni słowa ani o naszej gotowości, ani o siłach, ani o niczem, coś tu w Siczy widział.

— Widzę jedno to, żeś mi niepotrzebnie *fructum* wolności dał posmakować, bo ci takiego słowa nie dam, gdyż dając je, takbym właśnie postąpił, jako ci, którzy do nieprzyjaciela przechodzą.

— Gardło moje i zdrowie całego wojska zaporoskiego w tem, aby się na nas hetman wielki ze wszystkiemi siłami nie ruszył, czegoby nie omieszkał, gdybyś go o potędze naszej powiadomił, nie dziw się więc, że jeśli słowa nie chcesz dać, to cię nie puszczę, póki o siebie bezpiecznym nie będę. Wiem, na com się porwał; wiem, jako straszna jest siła przeciw mnie: obaj hetmani, twój straszny kniaź, który sam za całe

wojsko stanie, a Zasławscy, a Koniecpolscy, a wszystkie owe królewięta, które na szyi kozackiej nogę trzymają! Zaprawdę, niemałom ja musiał napracować się i listów rozpisać, nim zdołałem ich czujność uśpić — toć nie mogę teraz dozwolić, byś ją rozbudził. Gdy i czerń, i kozacy grodowi, i wszyscy uciśnieni w wierze i wolności, tak się po mojej opowiedzą stronie, jako wojsko zaporoskie i miłościwy chan krymski, tuszę, że nieprzyjaciołom sprostam, bo i moja siła znaczną będzie, ale najwięcej ufam Bogu, który widział krzywdy, a patrzał na niewinność moją.

Tu Chmielnicki wychylił szklankę wódki i zaczął chodzić niespokojnie koło stołu, pan Skrzetuski zaś zmierzył go oczyma i rzekł z mocą:

— Nie bluźnijże, hetmanie zaporoski, na Boga i Jego najwyższą opiekę się powołując, bo zaiste gniew tylko Boży i prędsze karanie na siebie ściągniesz. Tobież to godzi się Najwyższego na swą obronę wzywać, tobie, który dla swych krzywd i prywatnych zatargów, taką straszliwą burzę podnosisz, i płomień wojny domowej rozpalasz, i z pogany przeciw chrześcijanom się łączysz? Cóż się bowiem stanie? Zwyciężysz-li, czy będziesz zwyciężony, morze ludzkiej krwi i łez wylejesz, gorzej szarańczy kraj spustoszysz, krew własną poganom w jasyr oddasz, Rzeczpospolitą wstrząśniesz, na majestat rękę

podniesiesz, ołtarze Pańskie pohańbisz, a wszystko dlatego, że Czapliński futor ci zabrał, że ci po pijanemu wygrażał! Na cóż się więc nie targniesz? Czego dla prywaty nie poświęcisz? Boga wzywasz? — a ja zaprawdę, choć jestem w twojej mocy, chociaż mnie żywota i wolności pozbawić możesz — powiadam ci: szatana ty, nie Boga, na pomoc wzywaj, bo tylko jedno piekło sekundować ci może!

Chmielnicki sponsowiał — za rękojeść się porwał i patrzał tak na namiestnika, jak lew, który wnet ma ryknąć i rzucić się na swą ofiarę — ale się pohamował. Szczęściem, nie był jeszcze pijany. Może też ogarnął go jakiś niepokój, może jakieś głosy zawołały mu w duszy: «Zawróć z drogi» — bo nagle, jakby się chciał przed własnemi myślami bronić, lub samego siebie przekonywać, tak mówić począł:

— Od innego nie ścierpiałbym takiej mowy, ale i ty bacz, aby twa śmiałość mej cierpliwości nie pożarła. Piekłem mnie straszysz, o prywatę i zdradę mnie pomawiasz, a skądże wiesz, jeśli własne tylko krzywdy mścić idę? Gdzieżtobym znalazł pomocników, gdzie owe tysiące, które się już za mną opowiedziały i opowiedzą, gdybym jeno własnych ucisków chciał dochodzić? Spójrz, co się dzieje na Ukrainie? Hej! ziemia bujna, ziemia matka, ziemia rodzona, a kto w niej jutra pewien? kto w niej szczęś-

liw? kto wiary nie pozbawion, z wolności nie obran, kto w niej nie płacze i nie wzdycha? Sami jeno Wiśniowieccy, a Potoccy, a Zasławscy, a Kalinowscy, a Koniecpolscy, i szlachty garść! Dla nich starostwa, dostojeństwa, ziemia i ludzie, dla nich szczęście i złota wolność, a reszta narodu ręce we łzach do nieba wyciąga, czekając Bożego zmiłowania, bo i królewskie nie pomoże! Ileż to szlachty nawet, nieznośnego ich ucisku wytrzymać nie mogąc, na Sicz ucieka, jako ja sam ucieklem? Nie chcę też wojny z królem, nie chcę z Rzecząpospolitą! Ona mać, on ojciec! Król miłościwy pan, ale królewięta! Z nimi nam nie żyć; ich to zdzierstwa, ich to arendy, stawszczyzny, pojemszczyzny, suchomielszczyzny, oczkowe i rogowe; ich to tyrania i uciski, przez Żydów czynione, o zemstę do nieba wołają. Jakiejże to wdzięczności doznało wojsko zaporoskie za tak wielkie zasługi, w licznych wojnach oddane? Gdzie przywileje kozackie? Król dał, królewięta odjęli. Nalewajko poćwiertowan! Pawluk w miedzianym wole spalon! Krew nie obeschła po ranach, które nam szabla Żółkiewskiego i Koniecpolskiego zadała! Łzy nie obeschły po pobitych, ściętych, na pal wsadzonych, — a teraz — patrz! co świeci na niebie — tu Chmielnicki wskazał przez okienko płonącą kometę — gniew Boży! bicz Boży!... Więc jeśli ja

mam nim być na ziemi — to dziej się wola Boża! wezmę ten ciężar na barki.

To rzekłszy, ręce ku górze wyciągnął i zdawał się płonąć cały, jak wielka pochodnia zemsty, i drżeć począł, a potem padł na ławę, jakby ciężarem swych przeznaczeń przygnieciony.

Nastało milczenie, przerywane tylko chrapaniem Tuhaj-beja i koszowego, a w jednym kącie chaty świerszcz ćwirkał żałośnie.

Namiestnik siedział ze spuszczoną głową. Rzekłbyś, szukał odpowiedzi na słowa Chmielnickiego, tak ciężkie jak bryły granitu; nakoniec tak mówić począł głosem cichym i smutnym:

— Ach! choćby to była i prawda, ktoś ty, hetmanie, jest, abyś się sędzią i katem kreował? Jakież cię okrucieństwo, jaka pycha unosi? Czemu ty Bogu sądu i kary nie zostawisz? Jać złych nie bronię, krzywd nie pochwalam, ucisków prawem nie mianuję, ale wejrzyjże i ty w siebie, hetmanie! Na ucisk od królewiąt narzekasz, mówisz, że króla ni prawa słuchać nie chcą, dumę ich ganisz, a czy sam jej próżen jesteś? Czy sam nie ściągasz ręki na Rzeczpospolitą, prawo i majestat? Tyranią paniąt i szlachty widzisz, ale tego nie widzisz, że gdyby nie ich piersi, nie ich pancerze, nie ich moc, nie ich zamki, nie ich działa i hufce, tedyby ta ziemia, mlekiem i miodem płynąca, pod stokroć cięższem jarzmem tureckiem albo tatarskiem ję-

czała! Kto bowiem by jej bronił? Czyją to opieką i mocą dzieci wasze w janczarach nie służą, a niewiasty do sprośnych haremów nie są porywane? Kto osadza pustynie, zakłada wsie i miasta, wznosi świątynie boże?...

Tu głos pana Skrzetuskiego potężniał coraz bardziej, a Chmielnicki utkwił ponuro oczy we flaszkę z wódką, zaciśnięte pięści na stole położył i milczał, jakby się sam z sobą pasował.

— I któż są oni? — mówił dalej pan Skrzetuski — czy tu z Niemiec przyszli, albo od Turek? Nie krewże to z krwi, nie kość z kości waszej? Nie waszaże to szlachta, nie wasi książęta? Co gdy tak jest, tedy ci biada, hetmanie, bo ty młodszych braci na starszych uzbrajasz i parrycydów z nich czynisz. O dla Boga! choćby też i źli byli, choćby wszyscy, co przecie nie jest, deptali prawa, gwałcili przywileje — niechże ich Bóg sądzi w niebie, a sejmy na ziemi, ale nie ty, hetmanie! Możesz-li bowiem rzec, że między wami są tylko sprawiedliwi? zaliście nigdy nie przewinili, zali macie prawo rzucić kamieniem na cudzą zmazę? A żeś mię pytał: gdzie są przywileje kozackie? — tedy ci odpowiem: Nie królewięta je zdradzili, ale zaporożcy, ale Łoboda, Sasko, Nalewajko i Pawluk, o którym zmyślasz, że był w wole miedzianym usmażon, bo wiesz dobrze, że tak nie było! Zdarły je bunty wasze, zdarły niespokojności i napady,

nakształt tatarskich czynione. Kto Tatarów w granice Rzeczpospolitej puszczał, by dopiero na powracających i łupem obciążonych dla zysków napadać? — wy! Kto — przebóg! — lud chrześcijański, własny, w jasyr oddawał? Kto największe warchoły czynił? — wy! Przed kim ni szlachcic, ni kupiec, ni kmieć nie jest bezpieczny? — przed wami! Kto wojny domowe rozpalał, z dymem puszczał wsie i miasta ukrainne, łupił świątynie Boże, gwałcił niewiasty — wy i wy! Czego tedy chcesz? Czy aby wam przywileje na wojnę domową i łupiestwo zostały wydane? Zaiste więcej wam przebaczono, niźli odjęto! Chciano *membra putrida* leczyć, nie wycinać [1]), i nie wiem — jest-li na świecie potencya, prócz Rzeczypospolitej, któraby taki wrzód we własnem łonie tolerując, tyle cierpliwości i klemencyi znalazła! A w odwet za to jaka wdzięczność? Ot, tu śpi twój sprzymierzeniec, ale Rzeczypospolitej wróg zaciekły; twój przyjaciel, ale nieprzyjaciel krzyża i chrześcijaństwa, nie królewiątko ukrainne, ale murza krymski!... z nim to pójdziesz palić własne gniazdo, z nim sądzić braci! Ale on też ci odtąd panować będzie, jemu strzemię podawać musisz!

Chmielnicki wychylił nową szklankę wódki.

---

[1]) Słowa historyczne Żółkiewskiego.

— Gdyśmy z Barabaszem czasu swego u króla miłościwego byli — odparł ponuro — i gdyśmy na krzywdy i uciski nasze płakali, pan nasz rzekł: «A to nie macie samopałów i szabli przy boku?»

— Gdybyś przed królem królów stanął, tenby rzekł: «Aza przebaczyłeś nieprzyjaciołom swoim, jakom ja swoim przebaczył?»

— Z Rzeczpospolitą wojny nie chcę!

— Jeno jej miecz do gardła przykładasz!

— Idę kozaków z waszych okowów uwolnić.

— By ich w tatarskie łyka skrępować!

— Wiary chcę bronić.

— Z pohańcem w parze.

— Precześe ty, boś nie jest głosem sumienia mego! Precz! mówię ci!

— Krew przelana ci zaciąży, łzy ludzkie oskarżą, śmierć cię czeka, sąd czeka!

— Puszczyk! — zawołał ze wściekłością Chmielnicki i nożem przed piersią namiestnikową błysnął.

— Zabij! — rzekł pan Skrzetuski.

I znowu nastała chwila ciszy, znowu słychać było tylko chrapanie śpiących i żałosne skrzypienie świerszcza.

Chmielnicki stał przez chwilę, z nożem przy piersi Skrzetuskiego; nagle się wstrząsnął, opamiętał, nóż upuścił, a natomiast porwawszy gą-

Puszczyk! zawołał z wściekłością Chmielnicki i nożem przed piersią namiestnikową błysnął.

siorek z wódką, pić począł. Wypił aż do dna i siadł ciężko na ławie.

— Nie mogę go pchnąć! — mruczał — nie mogę! Późno już... czy to już świt?... Ale i z drogi zawracać późno... Co ty mnie o sądzie i krwi mówisz?

Poprzednio wypił już wiele, teraz wódka uderzała mu do głowy; stopniowo coraz bardziej tracił przytomność.

— Jaki tam sąd? co? Chan obiecał mi posiłki, Tuhaj-bej tu śpi! Jutro mołojcy ruszą... Z nami święty Michał-zwycięzca!... A jeśliby... jeśliby... to... Ja cię wykupił u Tuhaj-beja — ty to pamiętaj i powiedz.... Ot! boli coś... boli! Z drogi zawracać... późno!... sąd... Nalewajko... Pawluk...

Nagle wyprostował się, oczy z przerażeniem wytrzeszczył i zakrzyknął:

— Kto tu?

— Kto tu? — powtórzył nawpół rozbudzony koszowy.

Ale Chmielnicki głowę na piersi spuścił, kiwnął się raz, drugi, mruknął: «Jaki sąd?...» — i usnął.

Pan Skrzetuski od ran niedawno otrzymanych i wzruszenia rozmowy pobladł bardzo i zesłabł, więc pomyślał, że to może śmierć nadlatuje, i zaczął się modlić głośno.

ROZDZIAŁ XIII.

Nazajutrz, rankiem, piesze i konne wojska kozackie ruszyły z Siczy. Lubo krew nie splamiła jeszcze stepów, wojna była już rozpoczęta. Pułki szły za pułkami, rzekłbyś, szarańcza, przygrzana słońcem wiosennem, wyroiła się z oczeretów Czertomeliku i leci na ukraińskie niwy. W lesie, za Bazawłukiem, czekali już gotowi do pochodu ordyńcy. Sześć tysięcy co przebrańszych wojowników, zbrojnych nierównie lepiej od zwykłych czambułowych rabusiów, stanowiło pomoc, którą chan przysłał zaporożcom i Chmielnickiemu. Mołojcy na ich widok wyrzucili czapki w górę. Zagrzmiały rusznice i samopały. Wrzaski kozackie, pomieszane z hałłahowaniem tatarskiem, uderzyły o sklepienie niebios. Chmielnicki i Tuhaj-bej, obaj pod buńczukami, skoczyli ku sobie końmi i powitali się ceremonialnie.

Sprawiono szyk pochodowy ze zwykłą Tatarom i kozakom chyżością, poczem wojska ruszyły naprzód. Ordyńcy zajęli oba skrzydła kozackie, środek zawalił Chmielnicki z jazdą, za którą postępowała straszna piechota zaporoska[1]),

---

[1]) Wbrew ogólnemu mniemaniu dzisiejszemu, Bauplan twierdzi, iż piechota zaporoska niezmiernie przewyższała

dalej «puszkary» z armatami, dalej tabor, wozy, na nich służba obozowa, zapasy żywności, wreszcie czabanowie z zapaśnemi stadami i bydłem.

Przebywszy bazawłucki las, pułki wypłynęły na stepy. Dzień był pogodny. Stropu nieba nie plamiła żadna chmurka. Lekki wiatr podmuchiwał z północy ku morzu, słońce grało na spisach i kwiatach pustyni. Roztoczyły się przed wojskiem Dzikie Pola, jako morze bez końca, a na ten widok radość ogarnęła kozacze serca. Wielka malinowa chorągiew z Archaniołem zniżyła się po kilkakroć, witając step rodzimy, a za jej przykładem pochyliły się wszystkie buńczuki i pułkowe znamiona. Jeden okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi.

Pułki rozwinęły się swobodnie. «Dowbysze» i teorbaniści wyjechali na czoło wojska; huknęły kotły, zadźwięczały litaury i teorbany, a do wtóru im pieśń, przez tysiące głosów śpiewana, wstrząsnęła powietrzem i stepem:

»Hej wy stepy, wy rydnyje,
»Krasnym cwitom pysanyje,
»Jako more szyrokije!

---

jazdę. Wedle Bauplana, 200 Polaków rozbijało z łatwością 2.000 jazdy zaporoskiej, ale natomiast 100 pieszych kozaków mogło długo bronić się z za zakopu tysiącowi Polaków.

Teorbaniści puścili cugle i przechyleni w tył na kulbakach, z oczyma utkwionemi w niebo, uderzali o struny teorbanów; litaurzyści, wyciągnąwszy ręce nad głowami, bili w swoje miedziane kręgi, dowbysze grzmieli w kotły, a te wszystkie odgłosy, wraz z monotonnemi słowami pieśni i przeraźliwym, niesfornym świstem piszczałek tatarskich, zlały się w jakąś nutę ogromną, dziką, a smętną jak sama pustynia. Upojenie ogarnęło wszystkie pułki; głowy chwiały się w takt pieśni, i wreszcie zdawało się, że cały step rozśpiewany kołysze się razem z ludźmi, końmi i chorągwiami.

Spłoszone stada ptactwa zerwały się ze stepu i leciały przed wojskiem, jak drugie wojsko powietrzne.

Chwilami pieśń i muzyka milkły, a wówczas słychać było łopot chorągwi, tętent i parskanie koni i skrzypienie wozów taborowych, podobne do krzyku łabędzi lub żórawi.

Na czele, pod wielką chorągwią malinową i pod buńczukiem, jechał Chmielnicki, przybrany w czerwień, na białym koniu, z pozłocistą buławą w ręku.

Cały tabor poruszał się zwolna i ciągnął na północ, pokrywając jak groźna fala rzeczki, dąbrowy i mogiły, napełniając szumem i gwarem pustosz stepową.

A od Czehryna, z północnego krańca pustyni,

płynęła przeciw tej fali inna fala wojsk koronnych, pod wodzą młodego Potockiego. Tu zaporożcy i Tatarzy szli jakoby na wesele, z pieśnią radosną na ustach; tam poważna husarya postępowała w posępnem milczeniu, idąc niechętnie na tę walkę bez sławy. Tu pod malinową chorągwią stary, doświadczony wódz potrząsał groźnie buławą, jakby pewien zwycięstwa i zemsty; tam na czele jechał młodzieniec z twarzą zamyśloną, jakby świadom swych smutnych a blizkich przeznaczeń.

Dzieliła ich jeszcze wielka przestrzeń stepu.

Chmielnicki nie śpieszył się. Liczył bowiem, że im bardziej pogrąży się młody Potocki w pustynię, im dalej odsunie się od obu hetmanów, tem łatwiej będzie mógł być pokonany. A tymczasem, coraz nowi zbiegowie z Czehryna, Powołoczy i wszystkich brzegowych miast ukraińskich zwiększali codziennie siły zaporoskie, przynosząc zarazem wieści z przeciwnego obozu. Dowiedział się z nich Chmielnicki, że stary hetman wysłał syna z dwoma tylko tysiącami lądem [1]), a zaś sześć tysięcy semenów i tysiąc niemieckiej piechoty, bajdakami Dnieprem. Obie te siły miały rozkaz stałą z sobą utrzymywać łączność, ale rozkaz został już pierwszego dnia

---

[1]) Źródła rusińskie, np. Samoil Weliczko, podają liczbę wojsk koronnych na 22.000. Cyfra to oczywiście fałszywa.

złamany, bo bajdaki, porwane bystrym prądem Dnieprowym, wyprzedziły znacznie husaryę, idącą brzegiem, której pochód opóźniały niezmiernie przeprawy przez wszystkie rzeczki wpadające do Dniepru.

Chmielnicki więc, pragnąc, by ten rozdział powiększył się jeszcze bardziej, nie śpieszył się. Trzeciego dnia pochodu zaległ taborem koło Komyszej Wody i odpoczywał.

Tymczasem podjazdy Tuhaj-beja sprowadziły języka. Było to dwóch draganów, którzy zaraz za Czehrynem zbiegli z taboru Potockiego. Pędząc dzień i noc, zdołali znacznie wyprzedzić swój obóz. Stawiono ich natomiast przed Chmielnickim.

Opowiadania ich potwierdziły to, co było już Chmielnickiemu wiadome o siłach młodego Stefana Potockiego; natomiast przynieśli mu nową wiadomość, że przywódcami semenów, płynących wraz z piechotą niemiecką na bajdakach, byli stary Barabasz i Krzeczowski.

Usłyszawszy to ostatnie nazwisko, Chmielnicki porwał się na równe nogi.

— Krzeczowski? pułkownik regestrowych perejasławskich?

— On sam, jaśnie wielmożny hetmanie! — odpowiedzieli dragani.

Chmielnicki zwrócił się do otaczających go pułkowników:

— W pochód! — zakomenderował grzmiącym głosem.

W niespełna godzinę później, tabor ruszył naprzód, chociaż słońce już zachodziło i noc nie obiecywała być pogodną. Jakieś straszne, rude chmurzyska porozwalały się na zachodniej stronie nieba, podobne do smoków, do lewiatanów, i zbliżały się ku sobie, jakby chcąc stoczyć walkę.

Tabor posuwał się w lewo, ku brzegowi Dniepru. Szli teraz cicho, bez pieśni, bez bicia w kotły, w litaury, i szybko, o ile pozwalały im trawy, tak bujne w tej okolicy, że pogrążone w nich pułki chwilami traciły się z oczu, a różnobarwne chorągwie zdawały się same płynąć po stepie. Jazda torowała drogę wozom i piechocie, które, postępując z trudnością, wkrótce pozostały znacznie w tyle. Tymczasem noc pokryła stepy. Ogromny czerwony księżyc wytoczył się zwolna na niebo, ale przesłaniany co chwila chmurami, rozpalał się i gasł, jak lampa, tłumiona powiewami wiatru.

Było już dobrze z północy, gdy oczom kozaków i Tatarów ukazały się czarne olbrzymie masy, odrzynające się wyraźnie na ciemnem tle nieba.

Były to mury Kudaku.

Podjazdy, zakryte ciemnością, zbliżyły się pod zamek tak ostrożnie i cicho, jak wilcy lub

ptactwo nocne. A nuż możnaby ubiedz niespodzianie senną fortecę!

Ale nagle błyskawica na wałach rozdarła ciemności, huk straszliwy wstrząsnął skałami Dniepru, i kula ognista, zatoczywszy jaskrawy łuk na niebie, upadła w trawy stepowe.

Posępny cyklop Grodzicki dawał znać, że czuwa.

— Pies jednooki! — mruknął do Tuhaj-beja Chmielnicki: — widzi w nocy.

Kozacy pominęli zamek — o którego wzięciu, w chwili, gdy przeciw nim samym ciągnęły wojska koronne, nie mogli myśleć — i ruszyli dalej. Ale pan Grodzicki walił za nimi z dział, aż się mury zamkowe trzęsły, nie tyle, by im szkody przyczynić, gdyż przechodzili w znacznej odległości, ale aby ostrzedz wojska nadpływające Dnieprem, które mogły znajdować się już niedaleko.

Przedewszystkiem jednak huk dział kudackich odbił się w sercu i uszach pana Skrzetuskiego. Młody rycerz, prowadzony z rozkazu Chmiela z taborem kozackim, drugiego dnia zachorował ciężko. W walce na Chortycy nie otrzymał on wprawdzie żadnej śmiertelnej rany, ale utracił tyle krwi, że niewiele w nim życia zostało. Rany jego, opatrzone po kozacku przez starego kantarzeja, otworzyły się, owładnęła nim gorączka, i nocy owej leżał wpół przytomny na

kozackiej teledze, nie wiedząc o świecie Bożym. Zbudziły go dopiero działa kudackie. Roztworzył oczy, podniósł się na wozie i począł rozglądać się naokoło. Kozacki tabor przemykał się w ciemnościach, jak korowód mar, a zamek huczał i świecił różowymi dymami; kule ogniste podskakiwały po stepie, charkocząc i warcząc, jak psy rozzłoszczone, więc na ten widok taka żałość, taka tęsknota ogarnęły pana Skrzetuskiego, że gotów był i umrzeć zaraz, byle choć duszą ulecieć do swoich. Wojna! wojna! a oto on w obozie wrogów, bezbronny, chory, z woza niemogący się podnieść. Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie, on zaś nie leci jej ratować! A tam, w Łubniach, wojska pewno już ruszają. Książę z błyskawicami w oczach lata przed szeregami, a w którą stronę buławą skinie, tam wnet trzysta kopii, jakby trzysta gromów uderzy. Tu rozmaite znajome twarze zaczęły namiestnikowi stawać przed oczy. Mały Wołodyjowski leci na czele draganów ze swoją cienką szabelką w ręku, ale to fechmistrz nad fechmistrze: z kim ją skrzyżuje, ten jakby leżał w mogile; tam znów pan Podbipięta wznosi swój katowski zerwikaptur! Zetnie trzy głowy, czy nie zetnie? Ksiądz Jaskólski ogania chorągwie i modli się z rękoma do góry, lecz to dawny żołnierz, więc nie mogąc wytrzymać, huknie czasem: «Bij zabij!» A owo pancerni kładą już glewie w pół

końskiego ucha, pułki ruszają naprzód, rozpędzają się, pędzą, bitwa, zawierucha!

Nagle widzenie się zmienia. Przed namiestnikiem staje Helena, blada, z rozpuszczonym włosem, i woła: «Ratuj, bo mnie Bohun goni!» Pan Skrzetuski zrywa się z wozu, aż jakiś głos, ale już rzeczywisty, mówi do niego:

— Leżże, *detyno*, bo związę.

To esauł taborowy, Zachar, któremu Chmielnicki kazał pilnować namiestnika jak oka w głowie, układa go napowrót na wozie, okrywa końską skórą i pyta jeszcze:

— *Szczo s toboju?*

Więc pan Skrzetuski przytomnieje zupełnie. Mary pierzchają. Wozy ciągną samym brzegiem dnieprowym. Chłodny powiew dochodzi od rzeki i noc blednie. Ptactwo wodne rozpoczyna gwar poranny.

— Słuchaj, Zachar! to my już minęli Kudak? — pyta pan Skrzetuski.

— Minęli! — odpowiada zaporożec.

— A dokąd ciągniecie?

— *Ne znaju. Bytwa, każe, bude, ałe ne znaju.*

Na te słowa serce uderzyło radośnie w piersiach pana Skrzetuskiego. Sądził on, że Chmielnicki będzie oblegał Kudak, i że od tego wojnę zacznie. Tymczasem pośpiech, z jakim kozacy szli naprzód, pozwalał wnosić, że wojska koronne były już blizko, i że właśnie Chmielnicki

dlatego pominął fortecę, by nie być zmuszonym do bitwy pod jej działami. «Dziś jeszcze może wolny będę»,—pomyślał namiestnik i wzniósł oczy dziękczynnie ku niebu.

ROZDZIAŁ XIV.

Huk dział kudackich słyszały również wojska, płynące bajdakami pod wodzą starego Barabasza i Krzeczowskiego.

Składały się one z sześciu tysięcy kozaków regestrowych i jednego regimentu wybornej piechoty niemieckiej, której pułkownikował Hans Flik.

Pan Mikołaj Potocki długo się wahał, zanim kozaków przeciw Chmielnickiemu wyprawił, ale że Krzeczowski miał na nich wpływ ogromny, a Krzeczowskiemu hetman ufał bez granic, więc tylko semenom kazał przysięgę wierności złożyć — i wyprawił ich w imię Boże.

Krzeczowski, żołnierz pełen doświadczenia i wielce w poprzednich wojnach wsławiony, był klientem domu Potockich, którym wszystko zawdzięczał: i pułkownikowstwo i szlachectwo, gdyż mu je na sejmie wyrobili, i nakoniec obszerne posiadłości, położone przy zbiegu Dniestru i Ladawy, które dożywotnio od nich trzymał.

Tyle tedy węzłów łączyło go z Rzecząpospolitą i z Potockimi, że cień nieufności nie mógł zrodzić się w duszy hetmańskiej. Był to przytem człowiek w sile dni, bo zaledwie pięćdziesiąt lat liczący, i wielka przyszłość otwierała się przed nim na usługach krajowi. Niektórzy chcieli w nim widzieć następcę Stefana Chmieleckiego, który, rozpocząwszy zawód, jako prosty rycerz stepowy, skończył go jako wojewoda kijowski i senator Rzeczypospolitej. Od Krzeczowskiego zależało pójść tą samą drogą, na którą pchało go męstwo, dzika energia i niepohamowana ambicya, głodna zarówno bogactw, jak i dostojeństw. Gwoli tej to ambicyi, silnie przed niedawnym czasem zabiegał o starostwo lityńskie, a gdy nakoniec otrzymał je pan Korbut, Krzeczowski głęboko zakopał w sercu zawód, ale prawie że odchorował z zawiści i zmartwienia. Teraz zdawał mu się los na nowo uśmiechać, gdyż otrzymawszy od hetmana w. tak ważną funkcyę wojskową, śmiało mógł liczyć, że imię jego obije się o uszy królewskie. A było to rzeczą ważną, bo następnie należało tylko pokłonić się panu, aby otrzymać przywilej z miłemi duszy szlacheckiej słowami: «Bił nam czołom i prosył, szczob jeho podaryty, a my, pomniawszy jeho usługi, dajem» etc. Tą drogą zdobywało się na Rusi bogactwa i dostojeństwa; tą drogą ogromne obszary pustych stepów, które

przedtem należały do Boga i Rzpltej, przechodziły w ręce prywatne; tą drogą chudopachołek na pana wyrastał i mógł krzepić się nadzieją, że potomkowie jego między senatory zasiądą.

Krzeczowskiego gryzło jeno to, że w owej powierzonej mu funkcyi musiał dzielić władzę z Barabaszem, ale był to podział tylko nominalny. W rzeczywistości, stary pułkownik czerkaski, zwłaszcza w ostatnich czasach, tak się postarzał i zgrzybiał, że już ciałem jedynie do tej ziemi należał, a dusza jego i umysł pogrążone były ustawicznie w odrętwieniu i martwocie, które zwykle śmierć prawdziwą poprzedzają. Z początku wyprawy rozbudził się i począł się krzątać dość raźnie, rzekłbyś: na odgłos surm wojennych stara żołnierska krew poczęła w nim krążyć silniej, bo był to przecie czasu swego wsławiony rycerz i wódz stepowy; ale zaraz po wyruszeniu, ukołysał go plusk wioseł, uśpiły pieśni semenów i łagodny ruch bajdaków, więc zapomniał o świecie bożym. Krzeczowski wszystkiem rządził i zawiadował, Barabasz zaś budził się tylko do jedzenia; najadłszy się, pytał ze zwyczaju o to i owo — zbywano go ladajaką odpowiedzią, w końcu wzdychał i mawiał: «Ot radby ja z inną wojną do mogiły się kłaść, ale wola Boża!»

Tymczasem łączność z wojskiem koronnem, idącem pod wodzą Stefana Potockiego, została

od razu przerwana. Krzeczowski narzekał, że husarya i dragonia za wolno idą, że nadto u przepraw marudzą, że młody syn hetmański nie ma wojskowego doświadczenia, ale z tem wszystkiem kazał wiosłować i płynąć naprzód.

Bajdaki płynęły więc z biegiem dnieprowym ku Kudakowi, oddalając się coraz bardziej od wojsk koronnych.

Nareszcie zasłyszano pewnej nocy huk dział.

Barabasz spał i nie obudził się; natomiast Flik, który płynął naprzód, wsiadł w podjazdkę i udał się do Krzeczowskiego.

— Mości pułkowniku — rzekł: — to kudackie armaty! Co mam czynić?

— Zatrzymaj waść bajdaki. Zostaniemy przez noc w oczeretach.

— Chmielnicki widocznie zamek oblega. Mojem zdaniem, należałoby pośpieszyć z odsieczą.

— Ja waści o zdanie nie pytam, jeno rozkaz daję. Przy mnie komenda.

— Mości pułkowniku!...

— Stać i czekać! — rzekł Krzeczowski.

Ale widząc, że energiczny Niemiec szarpie swoją żółtą brodę i ustępować bez racyi nie myśli, dodał łagodniej:

— Kasztelan do jutra rana może z jazdą nadciągnąć, a fortecy przez jedną noc nie wezmą.

— A jeśli nie nadciągnie?

— Będziem czekali choćby dwa dni. Waść nie znasz Kudaku! Połamią oni sobie zęby o jego mury, a ja bez kasztelana na odsiecz nie będę ciągnął, bo i prawa do tego nie mam. Jego to rzecz.

Wszelka słuszność zdawała się być po stronie Krzeczowskiego, więc Flik nie nalegał dłużej i oddalił się do swoich Niemców. Po chwili bajdaki poczęły zbliżać się ku prawemu brzegowi i zasuwać w oczerety, które więcej niż na staje pokrywały szeroko w tem miejscu rozlaną rzekę. Nakoniec plusk wioseł ustał, statki skryły się całkowicie w szuwarach, a rzeka zdawała się być pustą zupełnie. Krzeczowski zakazał palenia ogni, śpiewania pieśni i rozmów, więc okolicę zaległa cisza, przerywana tylko dalekim odgłosem dział kudackich.

Wszelako na statkach nikt, prócz jednego Barabasza, nie zmrużył oka. Flik, człowiek rycerski i boju chciwy, chciałby ptakiem lecieć pod Kudak. Semenowie pytali się siebie z cicha: co też się może zdarzyć z fortecą? Wytrzyma, czy nie wytrzyma? A tymczasem huk wzmagał się coraz bardziej. Wszyscy byli przekonani, że zamek odpiera szturm gwałtowny. «Chmiel nie żartuje, ale i Grodzicki nie żartuje!» — szeptali kozacy. A co to jutro będzie?

To samo pytanie zadawał sobie prawdopodobnie Krzeczowski, który, siadłszy na przedzie

swego bajdaku, zamyślił się głęboko. Chmielnickiego znał on dobrze i dawno, uważał go zawsze aż dotąd za człowieka nadzwyczajnych zdolności, któremu tylko pola brakło, by wyleciał jak orzeł w górę, a teraz Krzeczowski wątpił o tem. Działa grzmiały ciągle, a zatem chyba Chmielnicki naprawdę Kudak oblegał?

— Jeśli tak jest, — myślał Krzeczowski — to jest człowiek zgubiony!

Jak to? Więc podniósłszy Zaporoże, zapewniwszy sobie pomoc chanową, zebrawszy siły, jakiemi żaden z watażków dotychczas nie rozporządzał, zamiast iść co najśpieszniej na Ukrainę, zamiast pobudzić czerń, przeciągnąć grodowych, zgnieść co prędzej hetmanów i opanować cały kraj, nimby na obronę jego nowe wojska nadeszły, on — Chmielnicki, on — stary żołnierz, szturmuje do niezdobytej fortecy, która przez rok może go trzymać? I pozwoli na to, by najlepsze siły jego tak rozbiły się o mury Kudaku, jak fala dnieprowa rozbija się o skały porohów? I będzie czekał pod Kudakiem, aż się hetmani wzmocnią i oblegną go jak Nalewajkę pod Sołonicą?...

— To człowiek zgubiony! — powtórzył raz jeszcze pan Krzeczowski. — Właśni kozacy go wydadzą. Nieudany szturm wywoła zniechęcenie i popłoch. Iskra buntu zagaśnie w samym

zarodku, a Chmielnicki nie będzie straszniejszy niż miecz, który się ułamał przy rękojeści.

— To głupiec!

— *Ergo?* — pomyślał pan Krzeczowski: — *ergo* jutro wysadzę na brzeg moich semenów i Niemców, a następnej nocy na osłabionego szturmami niespodziewanie uderzę, zaporożców w pień wyrznę, a Chmielnickiego związanego pod nogi hetmańskie rzucę. Jego to własna wina, bo mogło się zdarzyć inaczej.

Tu rozkiełznana ambicya pana Krzeczowskiego wzbiła się na sokolich skrzydłach w górę. Wiedział on dobrze, że młody Potocki żadną miarą do jutrzejszej nocy przyciągnąć nie może, więc kto urwie głowę hydrze? Krzeczowski! Kto zgasi bunt, który straszliwym pożarem mógłby ogarnąć całą Ukrainę? Krzeczowski! Może stary hetman będzie krzyw trochę, że się to stanie bez udziału synala, ale się wysapie prędko, a tymczasem wszystkie promienie sławy i łaski królewskiej oświecą czoło zwycięzcy.

Nie! Trzeba się jednak będzie podzielić sławą ze starym Barabaszem i z Grodzickim! Pan Krzeczowski zasępił się mocno, ale wnet wypogodził się. Wszakże tę starą kłodę, Barabasza, lada dzień zakopią w ziemię, a Grodzicki, byle mógł w Kudaku siedzieć i Tatarów kiedy niekiedy z dział przepłoszyć, niczego więcej nie pragnie; pozostaje jeden Krzeczowski.

Byle hetmaństwo ukrainne mógł otrzymać!

Gwiazdy migotały na niebie, a pułkownikowi zdawało się, że to klejnoty w buławie; wiatr szumiał w oczeretach, a jemu zdało się, że to szumi buńczuk hetmański.

Działa Kudaku grzmiały ciągle.

— Chmielnicki da gardło pod miecz, — myślał dalej pułkownik — ale to jego własna wina! Mogło być inaczej! Gdyby poszedł od razu na Ukrainę!... Mogło być inaczej! Tam wre i huczy wszystko, tam leżą prochy, czekające tylko na iskrę. Rzeczpospolita jest potężna, ale na Ukrainie sił nie ma, a król niemłody, schorowany!

Jedna wygrana przez zaporożców bitwa sprowadziłaby nieobliczone skutki...

Krzeczowski ukrył twarz w dłoniach i siedział nieruchomy, a tymczasem gwiazdy staczały się niżej i niżej i zachodziły zwolna na step. Przepiórki, ukryte w trawach, poczęły się nawoływać. Niezadługo miało zaświtać.

Nakoniec rozmyślania pułkownika skrzepły w niewzruszony zamiar. Jutro uderzy na Chmielnickiego i zetrze go w proch. Po jego trupie dojdzie do bogactw i dostojeństw, stanie się narzędziem kary w ręku Rzeczpospolitej, jej obrońcą, w przyszłości jej dygnitarzem i senatorem. Po zwycięstwie nad Zaporożem i Tatarami nie odmówią mu niczego.

A jednak — nie dano mu starostwa lityńskiego.

Na to wspomnienie Krzeczowski ścisnął pięści. Nie dano mu starostwa, mimo potężnego wpływu jego protektorów, Potockich, mimo jego zasług wojennych, dlatego tylko, że był *homo novus*, a jego przeciwnik od kniaziów ród wywodził. W tej Rzeczypospolitej niedość było zostać szlachcicem, należało jeszcze czekać, by to szlachectwo pokryło się pleśnią jak wino, by zardzewiało jak żelazo.

Chmielnicki jeden mógł zaprowadzić nowy porządek rzeczy, któremu bogdaj że i sam królby sprzyjał — ale, nieszczęśnik, wolał oto rozbijać głowę o skały kudackie.

Pułkownik uspokajał się zwolna. Odmówili mu raz starostwa — cóż z tego? Tembardziej będą się starali go wynagrodzić, zwłaszcza po zwycięstwie i zgaszeniu buntu, po uwolnieniu od wojny domowej Ukrainy, ba! całej Rzeczypospolitej! Wówczas niczego mu nie odmówią, wówczas nie będzie potrzebował nawet i Potockich...

Senna głowa schyliła się na piersi — i usnął, marząc o starostwach, o kasztelaniach, o nadaniach królewskich i sejmowych...

Gdy się zbudził, był brzask. Na bajdakach spało jeszcze wszystko. W dali połyskiwały w bladem, rozpierzchłem świetle wody dnieprowe. Na-

około panowała absolutna cisza. Ta właśnie cisza zbudziła go.

Działa kudackie przestały huczeć.

— Co to? — pomyślał Krzeczowski. — Pierwszy szturm odparty? czy może Kudak wzięty?

Ale to niepodobna!

Nie! po prostu zbici kozacy leżą gdzieś zdala od zamku i rany liżą, a jednooki Grodzicki pogląda na nich przez strzelnicę, rychtując na nowo działa.

Jutro szturm powtórzą i znowu zęby połamią.

Tymczasem rozedniało. Krzeczowski zbudził ludzi na swym bajdaku i posłał czółno po Flika.

Flik przybył niebawem.

— Mości pułkowniku! — rzekł mu Krzeczowski: — jeśli do wieczora kasztelan nie nadciągnie, a z nocą szturm się powtórzy, ruszymy fortecy w pomoc.

— Moi ludzie gotowi — odparł Flik.

— Rozdajże im prochy i kule.

— Rozdane.

— W nocy wysiądziemy na brzeg i ruszymy jak najciszej stepem. Zejdziemy ich niespodzianie.

— *Gut, sehr gut!* ale czyby się nie przysunąć trochę bajdakami? Do fortecy mil ze cztery. Trochę daleko dla piechoty.

— Piechota siędzie na konie semenów.

— *Sehr gut!*

— Ludzie niech leżą cicho w sitowiach, na brzeg nie wychodzą i hałasów nie sprawują. Ogniów nie palić, bo dymyby nas zdradziły. Nie powinni o nas wiedzieć.

— Mgła taka, że i dymów nie ujrzą.

Rzeczywiście rzeka, łacha porosła oczeretem, w której stały bajdaki, i stepy były pokryte, jak okiem sięgnąć, białym nieprzeniknionym tumanem. Ale że był to dopiero świt, więc mgły mogły jeszcze opaść i odsłonić stepowe przestrzenie.

Flik odjechał. Ludzie na bajdakach budzili się z wolna; wnet ogłoszono rozkazy Krzeczowskiego, by się zachować cicho — więc zabierali się do rannego posiłku bez żołnierskiego gwaru. Ktoby przechodził brzegiem, lub płynął środkiem rzeki, aniby się domyślił, że w przyległej łasze ukrywa się kilka tysięcy ludzi. Koniom dawano jeść z ręki, by nie rżały. Bajdaki, zakryte mgłą, leżały przyczajone w lesie szuwarów. Gdzieniegdzie tylko przemykała się mała «pidizdka» o dwóch wiosłach, rozwożąca suchary i rozkazy, zresztą wszędzie panowało grobowe milczenie.

Nagle w trawach, trzcinach, szuwarach i zaroślach przybrzeżnych, naokoło całej łachy, rozległy się dziwne, a bardzo liczne głosy, wołające:

— Pugu! pugu!...

Cisza...

— Pugu! pugu!

I znowu nastało milczenie, jak gdyby owe głosy, wołające na brzegach, oczekiwały na odpowiedź.

Ale odpowiedzi nie było. Wołania zabrzmiały po raz trzeci, ale szybsze i niecierpliwsze.

— Pugu! pugu!

Wówczas od strony statków rozległ się wśród mgły głos Krzeczowskiego:

— A kto taki?

— Kozak z Ługu!

Semenom, ukrytym na bajdakach, serca zabiły niespokojnie. Tajemnicze owo wołanie było im znane dobrze. W ten sposób zaporożcy porozumiewali się z sobą na zimowiskach, w ten także sposób w czasie wojen zapraszali na rozmowę braci kozaków regestrowych i grodowych, między którymi bywało wielu należących sekretnie do bractwa.

Głos Krzeczowskiego rozległ się znowu:

— Czego chcecie?

— Bohdan Chmielnicki, hetman zaporoski, oznajmia, że działa na łachę są obrócone.

— Powiedzcie hetmanowi zaporoskiemu, że nasze obrócone na brzegi.

— Pugu! pugu!

— Czego jeszcze chcecie?

— Bohdan Chmielnicki, hetman zaporoski,

prosi na rozmowę swojego przyjaciela, pana Krzeczowskiego pułkownika.

— Niech jeno da zakładników.

— Dziesięciu kurzeniowych.

— Zgoda!

W tej chwili brzegi łachy zakwitły, jakby kwieciem, zaporożcami, którzy popowstawali z pośród traw, między któremi leżeli ukryci. Zdala od stepów nadciągała ich konnica i armaty, ukazały się dziesiątki i setki chorągwi, znamion, buńczuków. Szli ze śpiewaniem i biciem w kotły. Wszystko to razem podobniejsze było do radosnego powitania, niż zetknięcia się wrogich potęg.

Semenowie z bajdaków odpowiedzieli okrzykami. Tymczasem przybyły czółna, wiozące atamanów kurzeniowych. Krzeczowski wsiadł w jedno z nich i odjechał na brzeg. Tam podano mu konia i przeprowadzono natychmiast do Chmielnickiego.

Chmielnicki ujrzawszy go, uchylił czapki, a następnie powitał go serdecznie.

— Mości pułkowniku! — rzekł — stary przyjacielu mój i kumie! Gdy pan hetman koronny kazał ci mnie łapać i do obozu odstawić, tyś tego uczynić nie chciał, jeno mię ostrzegłeś, bym się ucieczką salwował, dla którego uczynku winienem ci wdzięczność i miłość braterską.

To mówiąc, rękę uprzejmie wyciągał, ale

czarniawa twarz Krzeczowskiego pozostała jak lód zimna.

— Teraz zaś, gdyś się wyratował, mości hetmanie, — rzekł — rebelią podniosłeś.

— O swoje to, twoje i całej Ukrainy krzywdy idę się upomnieć, z przywilejami królewskimi w ręku, i w tej nadziei, że pan nasz miłościwy za złe mi tego nie poczyta.

Krzeczowski począł patrzeć bystro w oczy Chmielnickiemu i rzekł z przyciskiem:

— Kudak obległeś?

— Ja? Chybabym był z rozumu obran! Kudak minąłem i anim wystrzelił, choć mnie stary ślepiec armatami oznajmiał. Mnie na Ukrainę było pilno, nie do Kudaku, i do ciebie było pilno, do starego druha, dobrodzieja.

— Czego ty ode mnie chcesz?

— Jedź ze mną trochę w step, to się rozmówim.

Ruszyli końmi i pojechali. Bawili z godzinę. Po powrocie twarz Krzeczowskiego była blada i straszna. Wnet też zaczął żegnać się z Chmielnickim, który rzekł mu na drogę:

— Dwóch nas będzie na Ukrainie, a nad nami jeno król i nikt więcej.

Krzeczowski wrócił do bajdaków. Stary Barabasz, Flik i starszyzna oczekiwali go niecierpliwie.

— Co tam? co tam? — pytano go ze wszystkich stron.

— Wysiadać na brzeg! — odpowiedział rozkazującym głosem Krzeczowski.

Barabasz podniósł senne powieki; jakiś dziwny płomień błysnął mu w oczach.

— Jak to? — rzekł.

— Wysiadać na brzeg! Poddajem się!

Fala krwi buchnęła na bladą i pożółkłą twarz Barabasza. Wstał z kotła, na którym siedział, wyprostował się, i nagle ten zgięty, zgrzybiały starzec zmienił się w olbrzyma, pełnego życia i siły.

— Zdrada! — ryknął.

— Zdrada! — powtórzył Flik, chwytając za rękojeść rapiera.

Ale nim go wydobył, pan Krzeczowski świsnął szablą i jednym zamachem rozciągnął go na pomoście.

Następnie skoczył z bajdaku w podjazdkę tuż stojącą, w której siedziało czterech zaporożców z wiosłami w ręku, i krzyknął:

— Między bajdaki!

Czółno pomknęło jak strzała, pan Krzeczowski zaś, stojąc w środku, z czapką na okrwawionej szabli, z oczyma jak płomienie, krzyczał potężnym głosem:

— Dzieci! nie będziem swoich mordować!

Niech żyje Bohdan Chmielnicki, hetman zaporoski!

— Niech żyje! — powtórzyły setne i tysiączne głosy.

— Na pohybel Lachom!

— Na pohybel!

Wrzaskom z bajdaków odpowiadały okrzyki zaporożców na brzegach. Ale wielu ludzi ze statków, stojących dalej, nie wiedziało jeszcze o co chodzi; dopiero gdy wszędzie rozbiegła się wieść, że pan Krzeczowski przechodzi do zaporożców, prawdziwy szał radości ogarnął semenów. Sześć tysięcy czapek wylecialo w górę, sześć tysięcy rusznic huknęło wystrzałami. Bajdaki zatrzęsły się pod stopami mołojców. Powstał tumult i zamieszanie. Wszelako radość owa musiała być krwią oblana, bo stary Barabasz wolał zginąć, niż zdradzić chorągiew, pod którą wiek życia przesłużył. Kilkudziesięciu ludzi czerkaskich opowiedziało się przy nim, i wszczęła się bitwa krótka, straszna — jak wszystkie walki, w których garść ludzi, pożądająca nie łaski, ale śmierci, broni się tłumom. Ani Krzeczowski, ani nikt z kozaków nie spodziewał się takiego oporu. W starym pułkowniku rozbudził się dawny lew. Na wezwanie, by broń złożył, odpowiadał strzałami — i widziano go z buławą w ręku, z rozwianymi białymi włosami, wydającego rozkazy grzmiącym głosem i z młodzień-

czą energią. Statek jego otoczono ze wszystkich stron. Ludzie z tych bajdaków, które nie mogły się docisnąć, wskakiwali w wodę i płynąc lub brodząc między oczeretami, chwytając następnie za krawędź statku, wdzierali się nań ze wściekłością. Opór był krótki. Wierni Barabaszowi semenowie, skłóci, zrąbani lub porozrywani rękami, zalegli trupem pomost — stary z szablą w ręku bronił się jeszcze.

Krzeczowski przedarł się ku niemu.

— Poddaj się! — krzyknął.

— Zdrajco! na pohybel! — odparł Barabasz i wzniósł szablę do cięcia.

Krzeczowski cofnął się szybko w tłum.

— Bij! — zawołał do kozaków.

Ale zdawało się, że nikt nie chce pierwszy podnieść ręki na starca. Na nieszczęście jednak, pułkownik poślizgnął się we krwi i upadł.

Leżący nie wzbudzał już tego szacunku, czy też przestrachu, i wnet kilkanaście ostrzów pogrążyło się w jego ciało. Starzec zdołał tylko wykrzyknąć: «Jezus Marya!»

Zaczęto siekać leżącego i rozsiekano w kawałki. Uciętą głowę przerzucano z bajdaku do bajdaku, bawiąc się nią jak piłką, dopóty, dopóki po niezręcznem rzuceniu nie wpadła w wodę.

Pozostawali jeszcze Niemcy, z którymi trudniejsza była sprawa, bo regiment składał się

z tysiąca starego i wyćwiczonego w różnych wojnach żołnierza.

Dzielny Flik poległ wprawdzie z ręki Krzeczowskiego, ale na czele regimentu pozostał Johan Werner, podpułkownik, weteran jeszcze z Trzydziestoletniej wojny.

Krzeczowski pewny był prawie zwycięstwa, gdyż bajdaki niemieckie otoczone były ze wszystkich stron kozackimi, chciał jednak zachować dla Chmielnickiego tak znaczny zastęp niezrównanej i doskonale uzbrojonej piechoty, dlatego wolał z nimi rozpocząć układy.

Zdawało się przez jakiś czas, że Werner zgadza się na nie, gdyż rozmawiał spokojnie z Krzeczowskim i słuchał uważnie wszelkich obietnic, jakich mu przeniewierczy pułkownik nie szczędził. Żołd, z którym Rzeczpospolita była zaległa, miał być natychmiast za ubiegły czas i za rok jeszcze z góry wypłacony. Po roku knechtowie mogli się udać, gdzieby chcieli, choćby nawet do obozu koronnego.

Werner niby namyślał się, ale tymczasem wydał cicho rozkazy, by bajdaki przysunąć do siebie tak, aby utworzyły jedno zwarte koło. Na okręgu tego koła stanął mur piechurów, ludzi rosłych i silnych, przybranych w żółte kolety i takiejże barwy kapelusze, w zupełnym szyku bojowym, z lewą nogą wysuniętą naprzód do strzału i z muszkietami przy prawym boku.

Werner z obnażoną szpadą w ręku stał w pierwszym szeregu i namyślał się długo.

Nakoniec podniósł głowę.

— *Herr Hauptmann!* — rzekł: zgadzamy się!

— Nie stracicie na nowej służbie! — zawołał z radością Krzeczowski.

— Ale pod warunkiem...

— Zgadzam się z góry.

— Jeśli tak, to i dobrze. Nasza służba u Rzeczypospolitej kończy się w czerwcu. Od czerwca pójdziemy do was.

Przekleństwo wyrwało się z ust Krzeczowskiego, powstrzymał jednak wybuch.

— Czy kpisz, mości lejtnancie? — spytał.

— Nie! — odparł z flegmą Werner. — Nasza cześć żołnierska każe nam układu dotrzymać. Służba kończy się w czerwcu. Służymy za pieniądze, ale nie jesteśmy zdrajcami. Inaczej niktby nas nie najmował, a i wy sami nie ufalibyście nam, bo ktoby wam ręczył, że w pierwszej bitwie nie przejdziem znowu do hetmanów?

— Czego tedy chcecie?

— Byście nam dali odejść.

— Nie będzie z tego nic, szalony człowiecze! Każę was w pień wyciąć.

— A ilu swoich stracisz?

— Noga z was nie ujdzie.

— Połowa z was nie zostanie.

Obaj mówili prawdę; dlatego Krzeczowski, chociaż flegma Niemca wzburzyła w nim wszystką krew, a wściekłość poczynała go dławić, nie chciał jeszcze rozpoczynać bitwy.

— Nim słońce zejdzie z łachy, — zawołał — namyślcie się, poczem każę cynglów ruszać.

I odjechał pośpiesznie w swojej podjazdce, by się z Chmielnickim naradzić.

Nastała chwila oczekiwania. Bajdaki kozackie otoczyły ciaśniejszym pierścieniem Niemców, którzy zachowywali chłodną postawę, jaką tylko stary i bardzo wyćwiczony żołnierz zdoła zachować wobec niebezpieczeństwa. Na groźby i obelgi, wybuchające co chwila z kozackich bajdaków, odpowiadali pogardliwem milczeniem. Był to prawdziwie imponujący widok tego spokoju wśród coraz silniejszych wybuchów wściekłości ze strony mołojców, którzy, potrząsając groźnie spisami i «piszczelami», zgrzytając zębem i klnąc, oczekiwali niecierpliwie hasła do boju.

Tymczasem słońce, skręcając od południa ku zachodniej stronie nieba, zdejmowało zwolna swoje złote blaski z łachy, która stopniowo pogrążała się w cieniu.

Nakoniec pogrążyła się zupełnie.

Wówczas zagrała trąbka, a zaraz potem głos Krzeczowskiego ozwał się z daleka:

— Słońce zeszło! Czy już namyśliliście się?

— Już! — odparł Werner i, zwróciwszy się ku żołnierzom, machnął obnażoną szpadą.

— *Feuer!* — skomenderował spokojnym, flegmatycznym głosem.

Huknęło! Plusk ciał wpadających do wody, okrzyki wściekłości i gorączkowa strzelanina odpowiadały na głos niemieckich muszkietów. Armaty zatoczone na brzeg ozwały się basem i poczęły ziać kule na niemieckie bajdaki. Dymy przesłoniły łachę zupełnie — i tylko wśród krzyków, huku, poświstu strzał tatarskich, grzechotania «piszczeli» i samopałów, regularne salwy muszkietów zwiastowały, że Niemcy bronią się ciągle.

O zachodzie słońca bitwa wrzała jeszcze, ale zdawała się słabnąć. Chmielnicki, w towarzystwie Krzeczowskiego, Tuhaj-beja i kilkunastu atamanów, przyjechał na sam brzeg rekognoskować walkę. Rozdęte jego nozdrza wciągały dym z prochu, a uszy napawały się z lubością wrzaskiem tonących i mordowanych Niemców. Wszyscy trzej wodzowie patrzali na rzeź, jakby na widowisko, które zarazem stanowiło pomyślną dla nich wróżbę.

Walka ustawała. Wystrzały umilkły, a natomiast coraz głośniejsze okrzyki kozackiego tryumfu biły o niebo.

— Tuhaj-beju! — rzekł Chmielnicki — to dzień pierwszego zwycięstwa.

— Jasyru niema! — oburknął murza: — nie chcę takich zwycięstw!

— Weźmiesz go na Ukrainie. Cały Stambuł i Galatę napełnisz swymi jeńcami!

— Wezmę choć ciebie, jak nie będzie kogo!

To rzekłszy, dziki Tuhaj roześmiał się złowrogo, po chwili zaś dodał:

— Jednakże chętnie byłbym wziął tych «franków».

Tymczasem bitwa ustała zupełnie. Tuhaj-bej zawrócił konia ku obozowi, a za nim inni.

— No! teraz na Żółte wody! — zawołał Chmielnicki.

KONIEC TOMU TRZYDZIESTEGO DZIEWIĄTEGO.

LP
S5724
Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
v.39
486102

DATE.

NAME OF BORROWER.

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET